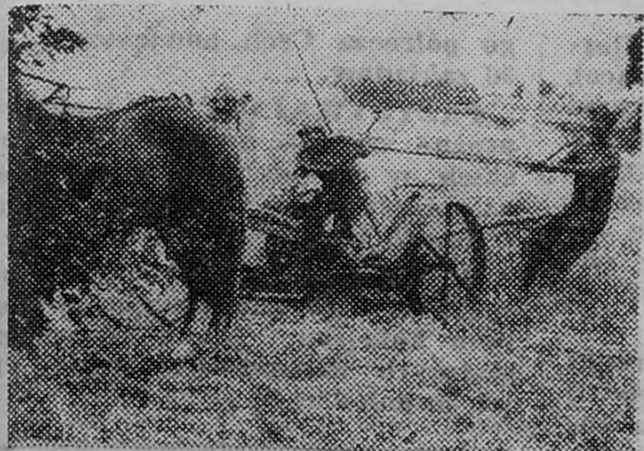




3
ciężki
kłos...



5
pieskie
życie



6
tabór mój
widzę
ogromny



ordynat 11-12
Michorowski

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

31

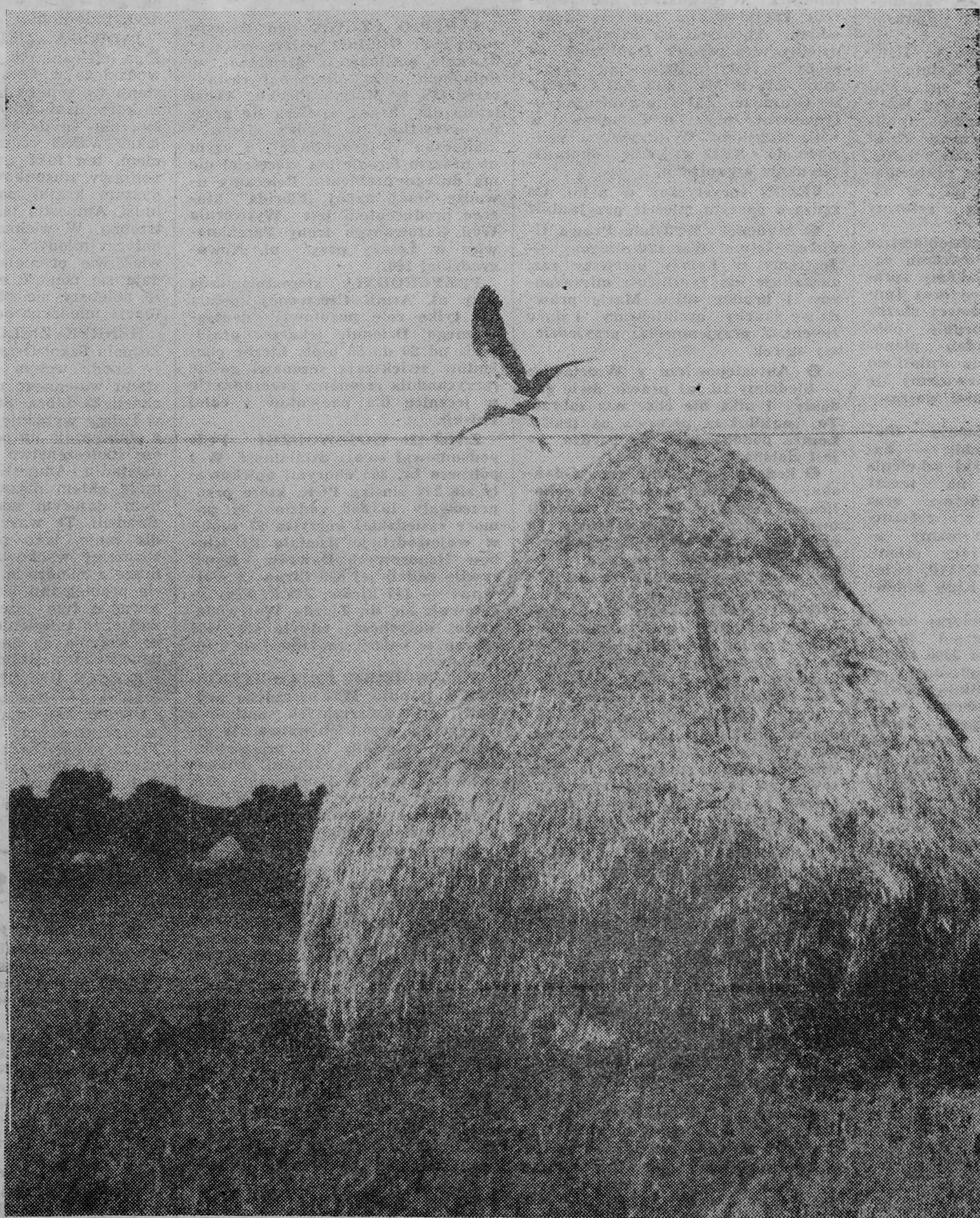
(146)

KONTAKTY

31 VII 83

cena

10 zł



ADAM JERZY SOCHA ARKADIA na Kuwosach

Na początku była wizja: „Już widzę te tłuste bukiaty, wesole cielęta, krowy z wymionami nabrzmiętymi od mleka [...]” — tak widział w roku 1975 przyszłość Zakładu Doświadczalnego Melioracji i Użytków Zielonych „Biebrza” w Biebrzy Dionizy Siderski, autor „Żywotów bagiennych”. — Zmora — gasi tęczy neon dyrektor Zakładu, Marian Sieczko. — Przymusowy oboz pracy — wybuchają robotnicy działu produkcyjnego. — Ten kombinat nas w pewnym sensie kompromituje — stwierdza dr Janusz Gotkiewicz z działu naukowego.

Jest słoneczne lato 1983 roku.

CIĄG DALSZY NA STR. 8—9

STANISŁAW ZIELIŃSKI

SMAK GOLGOTY

Kiedyś była w tym miejscu polana. Po wkroczeniu wojsk radzieckich została okopana rowami. Ludzie z pobliskich wsi, właściciele wąskich skrawków lasu, sądzili, iż przybysze mają zamiar coś tu budować, np. zbrojownię czy leśny garnizon. Ale nie doczekali się realizacji swoich domysłów, bowiem wkroczyli Niemcy. Rowy im się bardzo przydały.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

W NASTĘPNYM NUMERZE: na ulicy bezpieczniejszej niż w domu — Tańcowali dwa Michały, czyli fotoreportaż z meczu FC „Kontakty” — KS „Promi-

ment” po nowogrodzku — wszystkie do końca o „Arkadii na Kuwasach” — reportaż kryminalny „Amnezja” — „Kontakci”.

OBCHODY 22 LIPCA. Na sesji WRN-u zasłużonym działaczom wręczono odznaczenia państwowe. Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Stanisław Ogrodnik i Henryk Wiśniowski; Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski: Mieczysław Just, Zofia Kempisty, Eugeniusz Konopka, Zygmunt Mazur, Czesław Zalewski i Aleksander Zalewski; Złoty Krzyż Zasługi: Jan Cirył, Zygmunt Just, Edward Lemański, Piotr Kossakowski, Kazimierz Piotrowski, Jadwiga Wojewoda, Jadwiga Zaremba.

50 ŁOMŻYŃSKICH DZIAŁACZY byłego FJN zostało wyróżnionych dyplomami uznania oraz osobistymi podziękowaniami od przewodniczącego Rady Państwa za ofiarną pracę społeczną.

Z INICJATYWY KW MO w Łomży w sali kina „Millenium” odbędzie się uroczysty występ Zespołu Artystycznego Wojska Ochrony Pogranicza „Granica” (zaprezentujemy go w kolejnym numerze).

NAD CZYM PRACUJĄ zakładowe organizacje partyjne? Odpowiadają sekretarze.

● **Fabryka Przyrządów i Uchwyłów „Ponar-Bial” w Kolnie:** — Na bieżąco żyjemy sprawami bhp. Po ostatnim posiedzeniu KZ-u przystępujemy do kontroli realizacji wniosków. W programie działania mamy szkolenie ekonomiczne, na którym zajmujemy się problemami ekonomiczno-prawnymi w aspekcie funkcjonowania reformy gospodarczej.

● **Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane:** — Na posiedzeniu egzekutywy KZ-u omawialiśmy sprawy bhp, socjalno-bytowe oraz funkcjonowanie przyzakładowej służby zdrowia. Najbliższe zebranie poświęcimy wykonaniu zadań planowych w I półroczu oraz wnioskom na II półroczu. Przygotowujemy się też do oceny działalności poszczególnych OOP.

● **Zakład nr 2 w Łomży Białostockiej Fabryki Mebli:** — Zakończyliśmy kolejny cykl szkolenia partyjnego, m.in. na temat stosunków Kościół-państwo oraz wybranych zagadnień z reformy gospodarczej. W planie mamy adaptację, przy współpracy członków zakładowego koła ZSMP, świetlicy zakładowej na Klub Robotnika.

POWSTAJĄ nowe związki zawodowe. Tymczasowy Zespół Koordynacji ZNP liczy około 3000 członków (tj. 50 proc. zatrudnionych w województwie pracowników oświaty i wychowania). Społeczną funkcję przewodniczącą pełni Mirosław Moraczewski. W oddziałach miejskich i gminnych wybrano delegatów na Wojewódzką Konferencję ZNP, która odbędzie się pod koniec września. Najpilniejsze zadania: przygotowanie kwalifikowanej kadry nauczycielskiej, preferencje dla nauczycieli wiejskich (mieszkania, służba zdrowia, zaopatrzenie), powołanie klubu nauczycielskiego w Łomży, prace nad wprowadzeniem w życie „Karty nauczyciela”.

NA ZŁOCIE Młodzieży Polskiej — Wrocław 83 województwo łomżyńskie reprezentowała 40-osobowa delegacja działaczy organizacji młodzieżowych (25 członków ZSMP, 8 — ZMW, 7 — ZHP).

ŻNIWA W PEŁNI W województwie skończono już 60 proc. żniwa. Najszybciej uwinęły się gminy: Wiczna (91 proc.), Turośl (83 proc.), Mały Płock (73 proc.). W ubiegłym tygodniu rolnicy rozpoczęli pierwsze zbiory zbóż jarych — pszenicy i owsa. Zdaniem pracowników Wydziału Rolnictwa UW, tegoroczne akcje żniwne przebiegają o wiele sprawniej niż ubiegłoroczne.

PALI SIĘ! Mamy V stopień zagrożenia pożarowego obszarów leśnych! Wicewojewoda łomżyński podjął decyzję o ogłoszeniu akcji „Susza”, której celem jest przede wszystkim ochrona drzewostanu (m.in. obowiązuje zakaz wstępu do lasów osobom nieuprawnionym). O kres żniw powoduje szczególnie zagrożenie pożarowe wsi. W tym roku (w stosunku do lat poprzednich) niebezpieczeństwo to znacznie wzrosło nie tylko z powodu braku opadów. Przyczyną pożarów bywają

również niesprawne maszyny i urządzenia rolnicze. W I półroczu br. strażacy wyjeżdżali do 137 pożarów. Straty wynoszą około 27 milionów złotych (18 razy płonął las na obszarze 26 hektarów, a wraz z nim 1200 tysięcy złotych). Tylko w lipcu straż pożarna gasiła 12 lasów (około 4 milionów złotych strat) na powierzchni ponad 120 hektarów.

NADLESNICTWO ŁOMŻA negatywnie ocenia korzystających z wypoczynku w lesie. Przybywa śmietników (szczególnie w Lesie Jednaczewskim), a ubywa kultury turystów. Okres długotrwałej suszy odbija się na wegetacji szkółek. Zmniejsza się liczba kucopatów, bażantów i zajęcy, natomiast więcej pojawiło się saren i dzików.

WAKACJE '83. Organizacje młodzieżowe przeżywają gorący okres akcji letniej. Członkowie ZSMP odpoczywają m.in. na obozie szkoleniowym w Nowej Wsi, na obozie sportowym w Bielesku Białym. Do końca sierpnia bieżącego namiotowa w Boguszkach nad Jeziorem Toczyłowskim zaprasza wszystkich chętnych na sobotnio-niedzielną wypocznę. Odpłatność od osoby 30 złotych. Zgłoszenia przyjmuje ZW ZSMP lub ZMG ZSMP w Grajewie. ZMW organizuje cotygodniowe obozy w Cieluchowie w woj. łupskim. W przyszłym miesiącu do NRD wyjedzie około 35 członków organizacji.

SEZON turystyczny w pełni. Co sądzi o naszym mieście przyjeźdźcy?

● **Studenci Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego:** — Jesteśmy w Łomży pierwszy raz; zaskakuje nas czystość mieszkańców i brudne ulice. Macie prawdziwe skarby architektury i dużo zieleni. Z przyjemnością przyjeżdżamy z rok.

● **Autostopowicze z Wrocławia:** — Siedzimy tu już prawie dwie godziny i nikt nie chce nas zabrać. To najdłuższa przerwa na trasie. Łomża podoba nam się bardzo, bo jest zielona.

● **Podróżujący maluchem z Gdańska:** — Jesteśmy zachwyceni okolicami Łomży. W tych stronach mamy rodzinę i przyjeżdżamy tu prawie każdego lata; ciągle odkrywamy coś nowego. Budujecie szybko, macie sporo zabytków. Gdybyście jeszcze zadbali o Narew.

● **Wycieczka szkolna ze Śląska:** — W tej budce przy placu Kościuszki są bardzo dobre lody. Szkoda, że nigdzie nie możemy kupić żadnego napoju. Byliśmy w Katedrze. Podobały nam się witraże.

PTTK Oddział w Łomży sprzedał w br. 16 książeczek autostopu (w ubiegłym zaledwie dwie). Z różnych form wypoczynku zorganizowanego przez Towarzystwo wycieczki krajowe, zagraniczne, wczasowe, obozy, kolonie skorzystało tego lata około 3000 osób.

DOM WYCIECZKOWY PTTK w Kolnie nie może narzekać na nadmiar gości. Od początku sezonu (tj. od 1 czerwca) z noclegu w nim skorzystało zaledwie 180 osób. Placówka zaprasza wszystkich turystów indywidualnych.

W HOTELU „POLONEZ” w czerwcu i lipcu gościło około 2200 osób (w tym z krajów socjalistycznych — 10, kapitalistycznych — 20).

KANIKULA to tradycyjny okres prac renowacyjnych w szkołach. Dyrektorzy przewidują szczęśliwe ich zakończenie około 15 sierpnia. Oceniając jakość wykonanych usług na piątkę, chcą wyróżnić majstrów: Kazimierza Szydlika (Szkola

Podstawowa nr 5), Henryka Florczyka (Liceum Ogólnokształcące), Stanisława Kuligowskiego (Zespół Szkół Ekonomicznych), Zygmunta Malewskiego (Zespół Szkół Drzewnych). Zastępca dyrektora Szkoły Podstawowej nr 4 obawia się, że roboty w tej placówce — z powodu braku ludzi — potrwać do września.

ZW TPD OTWORZYŁ ośrodki wycieczkowe dla dzieci wiejskich w Zambrowie i Wyszkowie. Na cotygodniowych turnusach przebywa jednorazowo około 100 dzieci. Dla czego ośrodki będą czynne tylko do końca lipca?

SEZON TURYSTYCZNY na drogach to również ożywienie na stacjach benzynowych. Stacja CPN w Piątnicy w czerwcu sprzedała 86 800 litrów etyliny 78, 280 803 — etyliny 94 oraz 105 639 — oleju napędowego. Tylko w jedną sobotę i niedzielę lipca kierowcy kupili 3999 litrów etyliny 78, 13 787 — etyliny 94 i 1908 — oleju napędowego. Rekord zapewne jeszcze padnie.

ŁOMŻYŃSKI ODDZIAŁ PKS-u ma ogromne kłopoty z utrzymaniem taboru w sprawności technicznej (ogumienie, części zamienne), a mimo to w I półroczu br. jego tabor przewiózł blisko 62 miliony pasażerów i to nie tylko posiadaczy biletów. Średnio w ciągu miesiąca 100—120 osób podróżuje na gapę.

SANEPID CZUWA nad naszym zdrowiem. Ostatnio wstrzymał wydawanie posiłków w dziecięcu w Śniadowie oraz zamknął restaurację GS w Małym Płocku. Akcja letnia dla Stacji zawiera się przede wszystkim w dwóch słowach: „czystość” i „grunkowość”, z czym na naszym terenie (na szczęście) nie ma dużego problemu. Polecamy uwarzyć Stacji napój „Florida”, którego producentem jest Wytwórnia Wód Gazowanych Ireny Parchanowicz w Łomży przy ul. Nowogrodzkiej 200.

PRZYCHODNIA stomatologiczna przy ul. Armii Czerwonej spełnia nie tylko rolę pogotowia dentystycznego. Dziennie lekarze przyjmują od 30 do 50 osób. Liczbę pacjentów zwiększają sezonowi goście (przychodnia rejonowa przetrwała się w lecznicę dla pacjentów z całej Polski).

ZARZĄD WOJEWÓDZKI PCK podsumował swoją działalność. W I półroczu br. 365 chorymi opiekowały się 244 siostry PCK, które pracowały 153 868 godzin (z pomocy sąsiedzkiej korzysta 97 osób); w województwie działało 29 Klubów Honorowych Dawców Krwi; cywile oddali jej 858 litrów, a wojskowi — 117 litrów; ZW PCK przygotowuje się do Zjazdu Wojewódzkiego; dotychczas odbyło się 151 zebrania w kołach zakładowych i terenowych.

WOJEWÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO Handlu Wewnętrznego prowadzi cykl kwartalnych spotkań z emerytami przedsiębiorstwa. W ubiegłym tygodniu byli pracownicy zapoznani się z wynikami działalności instytucji w I półroczu i planami na II półroczu. Dyrekcja WPHW 4 emerytom przetrzała zapomogi na wypocznę urlopową.

KOMINIARZ nie tylko przynosi szczęście, ale przede wszystkim pracuje. Rejonowy Zakład Usług Kominiarskich w Łomży zatrudnia zaledwie 3 pracowników (na terenie podległych gmin — 11), którzy w I półroczu br. oczyścili około 2500 przewodów kominowych (ogółem w mieście jest ich 5095). Co 6 tygodni kominiarz puka do 1935 usługobiorców indywidualnych, których obowiązuje stałe korzystanie z usług Zakładu.

CECH RZEMIOSŁ RÓŻNYCH w Łomży zrzesza 1279 zakładów różnej branży. Najwięcej w rzemiośle budowlanym (531), najmniej — w piapierniczym (2). W ciągu pierwszego

go półroczu Cech powiększył się o 96 zakładów.

PRZYBYWAJĄCY do Łomży na próżno szukają pamiątek kurpiowskich w sklepie „Cepeli”. Mogą za to bez trudności kupić upominki z innych regionów Polski.

W ŁOMŻYŃSKIM USC w I półroczu br. 185 par stanęło na ślubnym kobiercu. Suma wieku najstarszych nowożeńców wynosi 136 lat, najmłodszych — 36.

punkt widzenia

Sejm podjął decyzję o zniesieniu stanu wojennego, wprowadzeniu amnestii i zapisie konstytucyjnym o trwałości indywidualnych gospodarstw rolnych.

MARIA GRZANKO, kurator zawodowy dla nieletnich Sądu Rejonowego w Łomży: — Spodziewałam się tego, chociaż istnienia stanu wojennego zupełnie nie odczuwałam. Myślę, że teraz ludzie będą czuli się pewniej bez tego obciążenia psychicznego, że stan wojenny ciągle trwa. Amnestia stanowi bardzo duży krok do normalizacji naszych spraw wewnętrznych. Obawiam się jednak, że nie wszyscy zwolnieni potrafią docenić ten akt łaski. Myślę, że obie ustawy przyczynią się do wzrostu autorytetu naszego rządu w stosunkach międzynarodowych.

JADWIGA ZIELIŃSKA, przełożona pielęgniarek Szpitala Wojewódzkiego w Łomży: — Zniesienie stanu wojennego nie było dla mnie zaskoczeniem. Spodziewałam się od stycznia, że okazja do tego będzie jakaś ważna rocznica. Moim zdaniem, ten fakt przyczyni się do poprawy stosunków społecznych w naszym kraju; po prostu pogodzi ludzi. Amnestia też jest bardzo potrzebna. W większości przypadków dotyczy młodych, którzy nie zawsze właściwie oceniają rzeczywistość i dają się ponieść emocjom. Myślę, że polepszy się również nasza sytuacja międzynarodowa.

HENRYK ZIELIŃSKI, dyrektor Zespołu Szkół Drzewnych w Łomży: — Spodziewałem się, że zniesienie stanu wojennego nastąpi właśnie z okazji 22 Lipca. Stosunki społeczne w Polsce wyraźnie uległy poprawie, a stabilizacja na pewno umocni nasze społeczeństwo we wspólnym działaniu. Amnestia jest według mnie aktem niezwykle humanitarnym, dającym szansę tym, którzy zblądzieli. Te ważne ustawy mają dla mnie, jako pedagoga, również znaczenie wychowawcze. Ułatwi to prace z młodzieżą, która interesuje się problemami kraju, chce dyskutować o tym szczerze i otwarcie. Sadzę, że zniesienie stanu wojennego wpłynie na naszą pozycję międzynarodową. Jestem optymistą.

ROMAN BAŁAZY, rolnik ze wsi Szablak: — Bardzo dobrze, że tak się stało. Gospodarstwo chłopskie zawsze powinno być dziedziczne. Teraz rolnicy będą bardziej przekonani, że robią na swoim. Ziemia jest naszym warsztatem pracy, jak dla robotników fabryki. Myślę, że to początek poprawy sytuacji w rolnictwie.

wieści gminne

MIASKOWO. Przy wjeździe do wsi intrzyguje niekonwencjonalna bryła nie dokończonych willi. Naczelnik nie zezwolił na kontynuowanie budowy — właściciel z fantazją projektował kształt drzwi i... prawą budowlaną. Zamiast belek stalowych zastosował szyny kolejowe i powiększył niektóre pomieszczenia. Grozi to zawaleniem się sufitu na pełną fantazji głowę właściciela. Chciałby pozbyć się kłopotliwego cacka (ponoć za 5 milionów!), ale brakuje nabywców.

● **Rolnicy** wnoszący obiekty gospodarcze muszą często naruszać postanowienia projektów dotyczących wymiarów okien i drzwi. Architekci, dla ułatwienia, przygotowują projekty typowe, ale rzadko ich wymiary (np. okien i drzwi) zgadzają się z wielkością elementów dostępnych w sklepach z artykułami budowlanymi.

● **Mieszkaniec Kulesz** nie dał się wygrać i od decyzji wojewody nakazującej rozebrać plot przeszkadzający w budowie drogi, odwołał się do ministra Administracji i Gospodarki Terenowej. Prawdopodobnie zapłaci kolejną karę i plot

CIĄG DALSZY NA STR. 15



myśl z atestem

„Nie zapominaj o swoich złych uczynkach. To ci pomoże nie powtarzać ich. Natomiast pamięć o dobrych uczynkach przeszkodzi ci w czynieniu dobra.”

LEW TOLSTOJ

zdanie tygodnia

— Nie z cudzej łaski, lecz z pracy wytrwałej, z wiecznej żywych i twórczych źródeł socjalizmu, możemy dziś czerpać pewność, że jutro będzie lepiej niż dziś.

gen. WOJCIECH JARUZELSKI

I się o
nży na
urpiow-
Moga
pominki
I pół-
a ślub-
ku naj-
osi 136

ia
iesieniu
adzeniu
cyjnym
gospo-

tor za-
u Rejo-
ewalam
stanu
dczuwa-
ie beda
obciaze-
wojeny
wi bar-
acji na-
n. Oba-
wszysty
ten akt
y przy-
torytetu
ch mie-

przeło-
Woje-
niesienie
la mnie
n sie od
bedzie
m zda-
sie do
nvch w
pogodzi
dzo do-
padków
zawsze
wistość i
Myśle,
szsza sy-

dyrektor
Łomży-
niesienie
łaśnie z
poleczne
oprawie-
ocni na-
spólnym
według
manitar-
którzy
wy maja
również
łatwi to
interesuje
dysku-
otwarciu
wojenne-
cie mie-
nista.

x ze wsi
że tak
chłopskie
edyczne
przeko-
Ziemia
racv. jak
Myśle, że
tuacji w

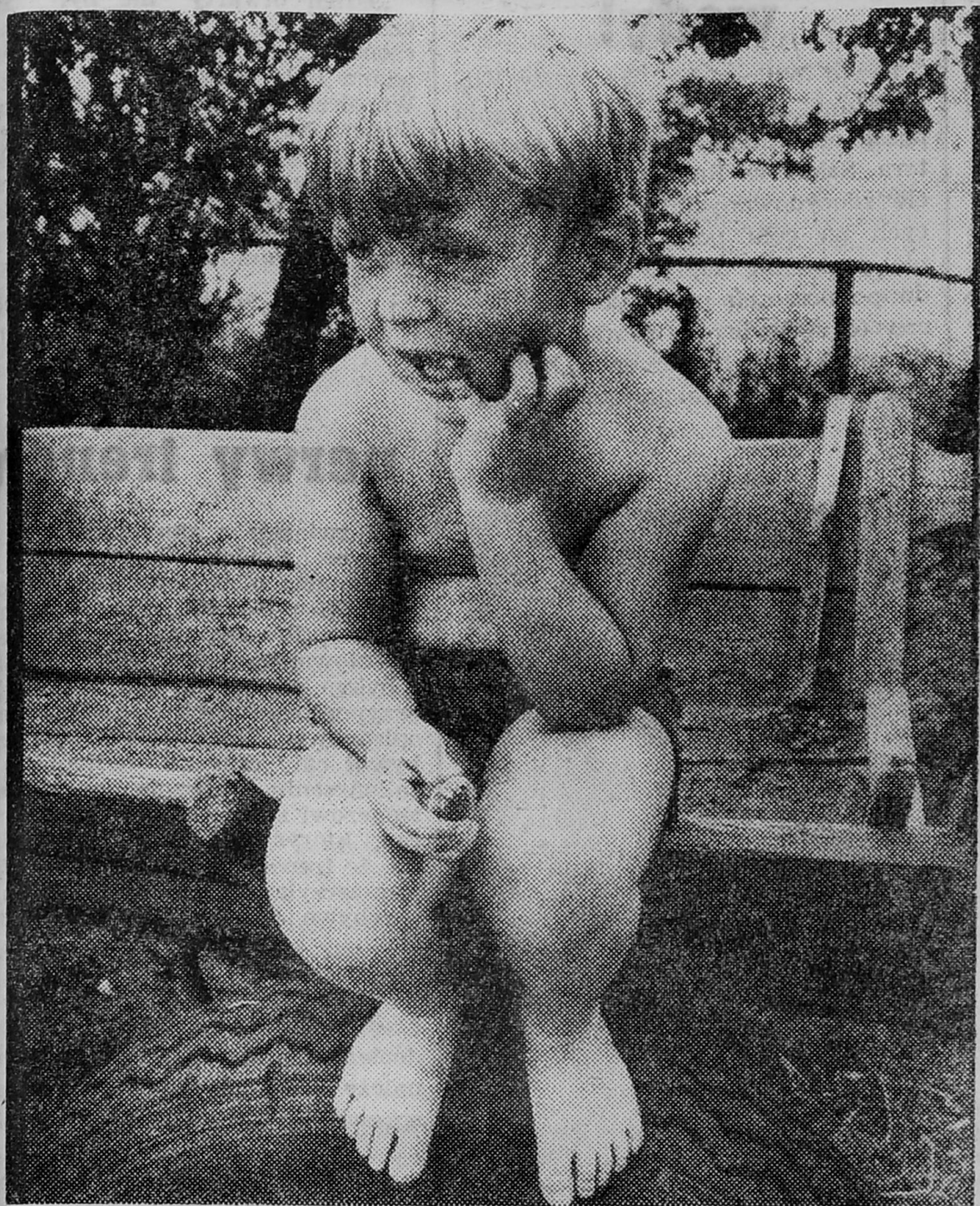
enne

zdzie do
cjonalna
Naczel-
uowanie
azja po-
prawo
stalo-
lejowe
szczenia
ufitu na
aściciela
otliwego
ów!), ale

obiekty
narusza-
dotycza-
Archib-
gotowują
adko ich
vi) zga-
ementów
artykula-

ie dał za
ojewody
przeszka
odwoła-
istracji
prawdopo-
e i pło-

PR. 15



Tak wczesnego zbioru żyta już dawno nie było. Susza zmusiła rolników do szybkiego koszenia i zwożenia z pól zbiorów, zanim ziarno zacznie wypadać z kłosów. Łomżyńscy rolnicy do 17 lipca skosili i zwieźli do stodół 27 proc. żyta z ponad 20 tysięcy hektarów. Najszybciej uwinęli się gospodarze z gmin: Klukowo, Ciechanowiec, Zbójna, Zambrów, Grajewo i Sniadowo. Rolnicy żniwują w bardzo trudnych warunkach. Dokuczają im upały, ale też zaopatrzeniowe dolegliwości i nieregularne dostawy do sklepów piwa i napojów chłodzących. Już nie wspominają o sznurku do snopowiązałek i częściej zamiennych do maszyn. Wszystkim żniwiarzom życzymy wytrwałości, pogody ducha i pięknych plonów.

tekst i zdjęcia Gabora Lörmczego



ZIEMI UGINA DO CIEŻKI KŁOS SIĘ

„adiutani jego biurokratyczności”

Przesyłam orzeczenie Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej dla Nauczycieli przy Ministrze Oświaty i Wychowania w Warszawie i żądam zamieszczenia go zgodnie z przepisem prawa — na tym samym miejscu i tą samą wielkością druku — co artykuł „Adiutant jego biurokratyczności” w Waszym poczytnym piśmie „Kontakty”.

Po procesie sądowym, jaki miałem z dziennikarzem tego pisma, tekst przepraszaający mnie wydrukowano pismem o wiele mniejszym, jak artykuł, w którym mnie obrażano i oczerniano.

Z postępowania Waszego wynika, że mimo wszystko dziennikarz miał rację, choć jej nie miał, naruszył prawo i wyrządził mi wielką krzywdę, której nie naprawiliście.

Dowodem może być skwapliwe zamieszczenie listu Zastępcy Prokuratora Wojewódzkiego Ob. Józefa Franciszkiewicza o przekazaniu sprawy przeciwko mnie do Sądu Rejonowego. Była to próba wydania wyroku przed wyrokiem, co jest niedopuszczalne w żadnym prawodawstwie świata.

Dlatego żądam zamieszczenia orzeczenia Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej dla Nauczycieli przy Ministrze Oświaty i Wychowania w celu przecięcia wszelkich insynuacji.

ALEKSANDER LASEK

ORZECZENIE DISCYPLINARNE

Odwoławcza Komisja Dyscyplinarna dla Nauczycieli przy Ministrze Oświaty i Wychowania działając w składzie orzekającym:

Przewodniczący: mgr Tadeusz Morawski
— wicedyrektor departamentu w Ministerstwie Oświaty i Wychowania.

Członkowie: 1. mgr Lucja Malec
— dyrektor Domu Dziecka w Warszawie.

2. mgr Helena Grębska
— główny specjalista w Ministerstwie Oświaty i Wychowania.

Protokółant: mgr Zofia Rybicka
— emerytowana nauczycielka przy udziale Rzecznika Dyscyplinarnego Ministerstwa Oświaty i Wychowania, ob. mgr Teresy Goszczyńskiej, st. specjalisty w Ministerstwie Oświaty i Wychowania na posiedzeniu odbytym w Warszawie w dniu 17 marca 1983 r. rozpatrzyła odwołanie obwinionego ob. mgr Aleksandra Laska, urodz. 10 II 1935 r., nauczyciela-pedagoga Zespołu Szkół Zawodowych w Łomży, b. dyrektora Bursy Szkolnej nr 2 w Łomży od orzeczenia Komisji Dyscyplinarnej dla Nauczycieli przy Wojewódzie w Łomży z dnia 26 X 1982 r. nr OKD 1330-5/8/82.

Zaskarżonym orzeczeniem ob. mgr Aleksander Lasek został uznany winnym naruszenia obowiązków służbowych określonych w art. 6 ust. 1 ustawy z dnia 26 stycznia 1982 r. — Karta Nauczyciela (Dz. U. nr 3, poz. 19), popełnionego przez to, że: w czasie pełnienia funkcji dyrektora Bursy Szkolnej nr 2 w Łomży nie przejawiał należytej troski o budynek i mienie. Nie wykazał należytego zainteresowania zagospodarowaniem działki. Naraził na straty finansowe burzę. Dopuszczał do niewłaściwej gospodarki środkami finansowymi Komitetu Rodzicielskiego. Nie przejawiał troski o systematyczne organizowanie i prowadzenie pracy wychowawczej. Nie liczył się ze zdaniem wychowawców i wymierzona mu została kara określona art. 76 ust. 1 pkt 1 powołanej ustawy tj. kara nagany z ostrzeżeniem. W wyniku przeprowadzonej rozprawy dyscyplinarnej Odwoławcza Komisja Dyscyplinarna postanowiła: uchylić orzeczenie w

całości i przekazać sprawę Komisji Dyscyplinarnej pierwszej instancji do ponownego rozpatrzenia.

Orzeczenie niniejsze jest ostateczne i nie podlega zaskarżeniu.

UZASADNIENIE

Komisja Dyscyplinarna dla Nauczycieli przy Ministrze Oświaty i Wychowania stoi na stanowisku, że orzeczenie wraz z uzasadnieniem Komisji Dyscyplinarnej przy Urzędzie Wojewódzkim w Łomży w w/w sprawie stanowi obrazę przepisów postępowania dyscyplinarnego. Ko-



misja I instancji powinna bowiem ustalić czy obwiniony uchybił godności zawodu lub jednemu z obowiązków, o których mowa w art. 6 Ustawy Karta Nauczyciela, a nie z art. 7. Brak pozytywnej odpowiedzi świadczyć będzie, iż mimo negatywnej oceny czynu czy postawy — przepisy Ustawy nie dają Komisji Dyscyplinarnej uprawnień do wyciągania wniosków dyscyplinarnych.

Komisja dyscyplinarna I instancji powinna przeprowadzić uzupełniające postępowanie dowodowe, zmierzając do ustalenia obiektywnego stanu faktycznego, który winien dać odpowiedź na pytanie czy obwiniony uchybił godności zawodu lub obowiązkowi, o których mowa w art. 6 ustawy i w zależności od stopnia uchybienia wydać stosowne orzeczenie.

wody!

Urząd Wojewódzki w Łomży Kuratorium Oświaty i Wychowania prosi obywatela Gminnego Dyrektora Szkół w Radziłowie o podjęcie zdecydowanych działań, mających na celu pozytywne załatwienie problemu doprowadzenia wody do pomieszczeń przedszkola w Słuczu (o sprawie tej pisała w liście do redakcji w 18 numerze „Kontaktów” Cecylia Krasnowska ze Słucza).

„Dzień otwarty” nie był zaskarżeniem dla pracowników i społeczeństwa, ponieważ akcja ta organizowana była wcześniej w „Gazecie Współczesnej”, która systematycznie dociera do mieszkańców naszej gminy. Zdziwiła mnie tylko „długa droga” telexu (6 dni). Interesantowe nie było więcej niż w innych dniach. Może jest to wynikiem tego, że nie ma „dni zamkniętych”.

INŻ. TADEUSZ NIEWIŃSKI
NACZELNIK GMINY
W MAŁYM PŁOCKU

nerwy trenera

W związku z zamieszczeniem w rubryce „Spiecia” („Kontakty” nr 27) notatki o zachowaniu się trenera LKS-u Łomża podczas meczu z drużyną Przasnysza pragnę wniesić sprostowanie. Jestem kibicem LKS-u i byłem obecny na tym meczu. Nie przypominam sobie jednak sytuacji opisanej w „Spieciach”. Trener przebywał cały czas na stadionie, a po zakończeniu spotkania podziękował trenerowi z Przasnysza. Podczas meczu, któryś z kibiców powiedział mi, że trener LKS-u opuścił stadion. Zaprzeczyłem temu i pokazałem, iż przebywa za bramką swojej drużyny.

Uważam, że w tygodniku o nakładzie 17 200 egzemplarzy, który dociera do każdego zakątka kraju, należy publikować wiadomości sprawdzone i prawdziwe, a nie plotki.

MIROSLAW KULESA

pijalnia

W odpowiedzi na notatkę zamieszczoną w „Spieciach” („Kontakty” nr 25) dotyczącą uruchomienia pijalni piwa przy Szosie Zambrowskiej w Łomży, Zarząd „Społem” PSS w Łomży wyjaśnia:

Po zerwaniu umowy na prowadzenie pijalni z byłymi agentami do Zarządu zgłosiła się kandydatka — obywatelka Chłodzińska, która wyraziła chęć otwarcia pijalni. Znała warunki jej prowadzenia, ponieważ wcześniej była w kontakcie z byłymi agentami i rzekomo udzielała im pomocy. Zgodnie z przepisami złożyła podanie do Zarządu, na które Zarząd nie udzielił żadnej odpowiedzi, ponieważ na prowadzenie takiej placówki potrzebne jest zezwolenie z Wydziału Handlu (o tym poinformowano zainteresowaną).

Zgodnie z rozporządzeniem Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług z dnia 6 maja br. w sprawie zasad usytuowania punktów sprzedaży napojów alkoholowych oraz trybu wydawania zezwoleń na sprzedaż tych napojów, Zarząd „Społem” otrzymał wytyczne z Wydziału Handlu Usług Urzędu Wojewódzkiego, w których mówi się: „o nie zawieraniu umów agencyjnych na sprzedaż piwa stałą lub obwoźną oraz nie rozszerzanie tej sprzedaży w istniejącej sieci detalicznej i gastronomicznej”. W myśl powyższego nie otrzymano zgody na prowadzenie pijalni, o czym poinformowano ob. Chłodzińską.

Odnosnie zarzutów poniesionych kosztów informuję, że zainteresowana na nie uzgodniła żadnego remontu z Zarządem. Umowa z właścicielem lokalu została zawarta w sposób nieprawidłowy, ponieważ wcześniej już na ten lokal właściciel podpisał umowę z inną osobą.

Biorąc powyższe pod uwagę, jak również wejście w życie ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi z dnia 26 października 1982 r., i to, że obywatelka Chłodzińska prowadziła w latach 60-tych podobną placówkę, o czym do dzisiaj mówi się negatywnie (zasięgnięto opinii), mieszkańcy sąsiadujący z pijalnią na pewno nie zostali zawiedzeni.

INŻ. BOŻENA KARENDYS
WICEPREZES ZARZĄDU
PSS „SPOŁEM” W ŁOMŻY

Fot. GABOR LÖRINCZ

O planowanych zamierzeniach i sposobie załatwienia przedmiotowej sprawy prosimy powiadomić redakcję, zainteresowaną obywatelkę i Kuratorium.

MGR BOLESŁAW PODOBIŃSKI
WICEKURATOR OŚWIATY
I WYCHOWANIA UW W ŁOMŻY

dzień otwarty

W nawiązaniu do „Więści gminnych” zamieszczonych w 24 numerze „Kontaktów”, uprzejmie wyjaśniam, iż telex z Urzędu Wojewódzkiego o „dniu otwartym” w urzędach terenowych oddziałów administracji państwowej wysłany 27 maja 1983 r. dotarł do nas 1 czerwca br. o godz. 14.00.



Wczoraj około godziny je-
nastej na ulicy Prusa duży,
rny pies pogryzł sześciol-
nią dziewczynkę. Właściciel
proszony jest o natychmia-
wy kontakt ze Stacją Sani-
mo - Epidemiologiczną. W
przeciwym razie dziecku gro-
zeria bolesnych zastrzyków".

Choć takich komunikatów ra-
dio podaje sporo, nie odzwier-
ciedla to rzeczywistego stanu
problemu. Wypadków pogryzień
psów jest bowiem znacznie wię-
cej, niż tylko niewielka ich część tra-
fia na fale eteru. Niebyle często
daje to jakikolwiek rezultat.
Prędyne stworzenia z reguły nie
gadają właścicieli, a jeżeli nawet
wołają oni milcząc w obawie przed
rykami konsekwencji. Nie
bowiem, że nie upilnowali
swoich czworonogów, to jeszcze
niezależnie, "nie zdążyli" ich zare-
strować, nie mówiąc już o tym,
"zapomnieli" poddać szczepie-
niom.

Wtedy, jeżeli osoba poszkodowa-
na potrafi rozpoznać psa, który
pogryzł. Po interwencji milicji
Sanepidu zostaje on schwytany
przez pracowników Zakładu Oczysz-
czania Miasta, a następnie umiesz-
czony w schronisku i przez dwa
dni poddawany obserwacji
w celu wykluczenia

tych szczeniaków wyrosły zwyczaj-
nie kundla, zasilają bezdomne stęry
psy "gospodarskie", przywożone
przez okolicznych rolników w dni
targowe wraz z towarami na sprze-
daz.

Nie ubywa więc pracy łapaczom
ze schroniska; przybywa natomiast
— z jednej strony — niezadowolonych,
oskarżających Urząd Miasta
o nieudolność i lekceważenie pro-
blemu, z drugiej — przeciwników
metod łapania i przechowywania
psów. I jedni, i drudzy mają swo-
je racje, sęk w tym, że nie znają
racji strony przeciwnej.

Bezpośrednia odpowiedzialność
za likwidowanie niebezpiecznych
psów spoczywa na Przedsię-
biorstwie Gospodarki Komunalnej i
Mieszkaniowej. Urząd Miasta wy-
stępuje tu (lub raczej chciałby wy-
stąpić) wyłącznie w roli koordyna-
tora. Inna sprawa, że nie wywiązuje
się z tego najlepiej, a to z po-
wodu m.in. braku tzw. "priorytetu
dla problemu". Przy załatwianiu
niejednej sprawy nie wystarczą
bowiem dobre chęci; często potrze-
ba jeszcze życzliwego uśmiechu ko-
goś "wyżej". W przypadku Łomży,
borykającej się z poważniejszymi,
nie rozwiązanymi dotąd problemami
komunalnymi (uzdatnianie wo-
dy, oczyszczanie ścieków, zaopatrze-
nie w gaz), sprawa niebezpiecznych
psów siliła rzeczy schodzi na plan
dalszy.

— W moim przedsiębiorstwie jest

psów, włączających się po śmietni-
kach, ale gdy stwierdzą, że w jed-
nym wybiegu znalazły się dwa psy,
natychmiast podnoszą larum.

Problem to ogólnopolski i dość
młody. Swego czasu funkcjonował
w kraju pożyteczny zawód raka-
rza. Został on w opinii społecznej
zdeprecjonowany przez Towarzy-
stwo Opieki nad Zwierzętami, które
— ustami co wrażliwszych lite-
ratów i innych nobliwych posiadaczy
ukochanych czworonogów —
wyrobiło rakarzowi opinię hyla-
-oprawy. W konsekwencji na szcze-
bli ministerialnym zapadła decyzja
o likwidacji tej profesji. Towarzy-
stwo nie zadbało jednak o bardziej
"humanitarny" sposób postępowania
z bezdomnymi zwierzętami. Tymcza-
sem ich liczba rosła i administracja
musiała jakoś ten problem roz-
wiązać, na ogół: byle szybko, sku-
tecznie i... cicho, bo Towarzystwo
czuwa!

W Zambrowie np. po blisko dzie-
sięciu latach bezczynności, nazywa-
nej organizacyjnym niedogranem,
utworzono na trzy miesiące schro-
nisko i ogłoszono w prasie, że za
każdego "doprowadzonego" bezpie-
skiego psa Urząd Miasta płaci 200
złotych. — Dzięki temu — twierdzi
naczelnik — udało się uśpić ponad
200 psów i, przynajmniej na jakiś
czas, problem rozwiązać.

W Wysokim Mazowieckim cza-
sowe schroniska organizowane są
dwie razy w roku (wiosną i jesie-

gani), którzy wylamali kraty kla-
tek i wypuścili psy na wolność.

Nie tak dawno schronisko przer-
wało swoją działalność z powodu
urlopu jedynego sanitariusza. Nie-
łatwo znaleźć kogoś, choćby na za-
stępstwo, jeżeli proponuje mu się,
oprócz "złej sławy", pensję w wy-
sokości około ośmiu tysięcy złotych
miesięcznie. Skusi się na nią tylko
ten, kto nie będzie mógł dostać pra-
cy gdzie indziej, a takiego szukać
ze świecą nawet wśród ludzi z mar-
ginesu.

Tymczasem wyjście mogłoby się
okazać zupełnie proste, a do tego
rehabilitujące równocześnie zawód
rakarza: taka pensja sanitariusza
schroniska, na jaką chętnie przy-
stałby nawet weterynarz, który te-
raz woli pchać wózki w "Baweł-
nie". Znalazłoby się tu też pole do
popisu dla Towarzystwa Opieki nad
Zwierzętami: np. ogólnopolska czy
ogólnowojewódzka akcja zbierania
pieniędzy "na cel".

Skoro na razie brakuje pieniędzy
na dobre rozwiązania, powin-
niśmy mieć odwagę na radykal-
ne. Z litości dla zwierząt nie
można bowiem zapominać o miłości
do ludzi. Bułgarzy, o których trud-
no powiedzieć, iż są barbarzyńcami,
tuż po wojnie — z obawy przed
epidemią wścieklizny — wytepiłi
wszystkie psy. Idącemu wieczorem
przez bułgarską wioskę nie towa-
rzyszy — dla nas swojskie, dla



pieskie życie



wścieklizny. Po tym okresie pies
jest usypiany.
Jeżeli jednak czworonóg okaże się
nieuchwytny, osoba pogryziona
nie może musi (profilaktycznie)
zrobić serię bardzo bolesnych —
to gorsze: niezupełnie obojętnych
zdrówia — zastrzyków. Czasami
one nawet przyczyną zgonów,
zwłaszcza u dzieci i osób starszych; rok-
żnie mamy w Polsce kilka ta-
kich przypadków.

W tym samym czasie groźba zachorowania na
wściekliznę, perspektywa otrzymania
zastrzyków (czasami nawet po-
wodu w szpitalu na oddziale zakaź-
nym) czy zarażenia się jedną z
ciężkich chorób, roznoszo-
nych przez niebezpieczne psy, wy-
wołuje, by mówić o nich jako o
ważnym problemie.
Łomżyńskie służby komunalne nie
dają tego problemu w tak czar-
nych kolorach, lecz kilkanaście
wypadków pogryzień w ciągu mie-
sca i watahy bezdomnych kundli
osiedlach mówią same za siebie.
W Łomży, trudno dokładnie okre-
ślić, mimo że w roku ubiegłym zla-
no ich ponad 350, a do maja br.
już 158, czworonogów jakoś nie
ywa. Nie jest to wyłącznie miej-
ska "nadprodukcja". Oprócz
psów porzucanych przez właścicie-
li, rozczarowanych faktem, że z mi-

dziesięć zakładów — mówi dyr.
PGKiM, inż. Zygmunt Stefanowicz
— w których ludzie mają gorsze
warunki socjalne niż kundla w azy-
lu: w jednym barakowozie gnieź-
dzi się trzydzieści osób, nie ma
gdzie się umyć, przebrać, zjeść.
Pieski natomiast siedzą w osobnych
klatkach, trzy razy dziennie dosta-
ją pożywienie, mają wybieg, odwie-
dza je lekarz weterynarii. W okre-
sie zimowym schronisko jest nie-
czynne, gdyż nie ma tam elektry-
czności, a wybieg musiałby być
ogrzewany. Z pewnością jest to pro-
wizorka, ale istnieje już trzy lata
i najprawdopodobniej poistnieje je-
szcze z dziesięć. Żeby projektanci
w ogóle chcieli rozmawiać z nami
o nowym schronisku, musielibyśmy
mieć 50—70 milionów złotych. Nie
stać nas na to. W Białymstoku po-
budowano dla psów niemal hotel:
bieżąca woda, lodówki, lekarz dy-
żurny przez całą dobę. Można zo-
stać tam swego pupila na czas
urlopu czy służbowego wyjazdu.
Mimo to Towarzystwo Opieki nad
Zwierzętami ciągle zgłasza jakieś
zastrzeżenia. Ileż to razy dyrektor
płacił mandaty! Gdyby przedstawie-
ciele tego Towarzystwa pojawili się
u nas, z pewnością wlepiłby mi 10
tysięcy kary i natychmiast kazali
zamknąć schronisko. Bo ich nie in-
teresuje los bezdomnych, głodnych

nią, a wylapywaniem psów zaj-
mują się, specjalnie do tego celu
oddelegowani, pracownicy gospodarki
komunalnej. Co prawda stosują
nieodzwolowaną metodę łowienia w
sieci, ale za to z pozytywnym skut-
kiem: niebezpieczne psy wprowadzają
i ówdzie jeszcze się zdarzają, nie
stanowią jednak poważniejszego za-
grożenia dla mieszkańców miasta.
Podobnie jest w Grajewie.

W Łomży, mimo uspokajającego
samozadowolenia dyrektora
Stefanowicza, sytuacja przed-
stawia się najgorzej. Unika się tu
wprawdzie zakazanych sposobów
chwytania zwierząt, lecz czyż nie
bardziej drastyczne jest np. prośbie
nie dzieci o wabienie psów na ka-
napkę? Wciąż nie rozwiązana kwe-
stia pozostaje adaptacja żuka do
wymagań transportu odłowionych
zwierząt.

Zamknięcie schroniska może spo-
wodować już nawet nie interwen-
cja Towarzystwa Opieki nad Zwi-
erzętami, ale choćby pierwsza lep-
sza inspekcja sanitarna Warunki, w
jakich egzystują psy, bulwersują lu-
dzi do tego stopnia, że niejednemu
daje się pytanie, czy nie bar-
dziej humanitarne byłoby po pro-
stu natychmiastowe usypianie ich.
Znaleźli się i tacy (podobno chuli-

Bułgarów już egzotyczne — szcze-
kanie i ujadanie. Jedynie snobisty-
czne mieszczańskie rodziny chlubią
się wypieganymi pieszczołami.

Francuzi, którzy o roznoszenie
wścieklizny oskarżyli lisy, również
bezpardonowo je wytepiłi. To po-
suniecie obróciło się jednak prze-
ciw nim: wścieklizna przeniosła się
z lasu do miast. Francuzi zdecydo-
wali się na ponowne "zalisienie"
swojego kraju.

Okazuje się, że nas, mimo (po-
dobno) bardzo sentymentalnego cha-
rakteru, również stać na bezlitosne
tepienie lisów (ze względu na skór-
kę, nie wściekliznę), zaś ten sam
"humanitaryzm", który każe nam
gardłować za psami miejskimi, nie
zabrania myślowym zabijać ich po-
za terenem zabudowanym. Naj-
prawdopodobniej nawet niezawodni
obrońcy krzywdzonych kundli
zmieniliby całkowicie swoje zapa-
trywania, gdyby tu czy ówdzie do-
szło do epidemii wścieklizny. Pó-
ki co jednak deklarujemy zgodnie:
„Pies — największym przyjacielem
człowieka”. Aż do pogryzienia.

DANUTA I ALEKSANDER
WRONISZEWSKY
Fot. GABOR LÖRINCZY

interwencje



kontakty kontaktów

W 25 numerze „Kontaktów” zamieściliśmy tekst „Starą panną na wsi być”. Zwierzenia młodej mieszkanki z łomżyńskiego wsi bardzo zaintrygowały naszego Czytelnika, który napisał do niej list i przysłał go do redakcji z prośbą o pomoc w nawiązaniu kontaktu. List drukujemy poniżej, a bohaterkę tekstu prosimy o podanie adresu.

Mila Pani, przeczytałem Pani wypowiedź w „Kontaktach”, w której pisze Pani, że jest starą panną, że na wsi tak Panią nazywają, że już chyba nie znajdzie sobie męża. Nieprawdą jest, że zostanie Pani sama. Jest tylu chłopców, którzy chcą się żenić, a nie mają partnerek. Jednym z nich jestem ja. Mieszkam na na wsi, pracuję w rolnictwie i chciałbym nawiązać kontakt z jakąś miłą panią, która by zechciała przyjść na moje gospodarstwo. Mam wykształcenie zawodowe (murarz). Nie chcę wziąć bogatej, lecz uczciwą i dobrego charakteru dziewczynę, która by szła ze mną przez to szare życie.

Mam na imię Staszek, lat 35, 170 cm wzrostu, jestem szczupły o ciemnoblonde włosach. Mieszkam w województwie białostockim.

Jeżeli Pani zechce do mnie napisać będę bardzo szczęśliwy.

★

W imieniu Zarządu Wojewódzkiego Ligi Ochrony Przyrody w Łomży informuję, iż z dużą radością dowiedzieliśmy się o niepopokoju „Kontaktów” o działalność LOP w naszym mieście. Ponieważ wiemy, że przyroda nie obroni się sama, od dwóch miesięcy (po 8-letnim staraniu) jesteśmy w nowym lokalu (Łomża, ul. Nowogrodzka 1, pokój 31). Telefonu brak, ale życzliwość dyrekcji Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego (gospodarcza budynku) wskazuje na to, iż wkrótce będzie.

Dziękujemy „Kontaktom” — jesteście pierwszymi, którzy zainteresowali się naszą działalnością. Kłopoty są i to nie tylko z przyrodą związane.

Korzystając z życzliwości „Kontaktów” chcemy podziękować władzom miasta — I sekretarzowi KM PZPR Mieczysławowi Czerniawskiemu i prezydentowi Wiesławowi Dębickiemu — za pomoc i zrozumienie potrzeb Ligi.

Mamy nadzieję, że w nowej, wreszcie własnej, siedzibie, przy wsparciu przyjaciół przyrody, zaoznamy mocniej swoją obecność.

MGR A. BIAŁOBRZESKA
PREZES ZW LOP W ŁOMŻY

★

Komisja Historyczna Zarządu Wojewódzkiego ZSMP w Łomży, która organizuje muzeum ruchu młodzieżowego, za pośrednictwem tygodnika „Kontakty”, prosi o przekazanie wszystkich pamiątek związanych z działalnością organizacji młodzieżowych — dyplomów, mundurów, odznaczeń, legitymacji, wspomnień, zdjęć.

Dotychczasowym i przyszłym ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

BOGDAN BOCHINSKI
CZŁONEK KOMISJI
HISTORYCZNEJ ZW ZSMP
W ŁOMŻY

★

Czytelniczkę z Grajewa, która w liście do redakcji przedstawiła swoje problemy mieszkaniowe, i która prawdopodobnie zapomniała się podpisać, gdyż prosi nas o nieujawnianie swojego nazwiska, prosimy o podanie dokładnego adresu, imienia i nazwiska (inaczej nie możemy interweniować w Pani sprawie).

O ludzkich narzekaniach, łataniu dziur kursowych i „obiektywnej” niemożności — z WŁODZIMIERZEM LACHEM, dyrektorem ds. eksploatacji łomżyńskiego Oddziału Państwowej Komunikacji Samochodowej — rozmawia WIESŁAW KOŁOWSKI.

— Reprezentuje Pan przedsiębiorstwo, na którego działalność jest podobno największe skarg i narzekan społeczność.

— Nie zgadzam się z tym twierdzeniem. Komisja Komunikacji WRN uznała, że od marca br. poprawiła się punktualność kursowania autobusów. Od świtu do późnych godzin wieczornych pracownicy przedsiębiorstwa mają styczność z klientami korzystającymi z naszych usług. Czy w tej sytuacji 51 skarg, które wpłynęły do nas w I półroczu, to dużo? W 23 przypadkach przyznaliśmy rację skarżącemu; działanie naszych pracowników było bezprawne. W 19 przypadkach skarga wynikała z nieporozumienia; po wyjaśnieniach okazało się, że nasz pracownik postępował zgodnie z przepisami. W 9 przypadkach skarżący się nie mieli racji.

Rozgraniczamy skargi od wniosków. Tych ostatnich w I półroczu było 23. Najczęściej dotyczyły zmian godzin kursowania autobusów, wprowadzenia dodatkowych kursów, a także zmian usytuowania przystanków. Dotychczas zrealizowaliśmy 5 wniosków. U uruchomiliśmy autobusy na następujących trasach: z Łomży do Łomży przez Jedwabne i z powrotem, z Grajewa do Łosiewa, z Radziłowa do Grajewa przez Klimaszewicę, z Łomży do Mocarzy przez Grady i z Grajewa do Boczków. Nie byliśmy w stanie od razu zrealizować wszystkich postulatów; odłożyliśmy je do października, kiedy będziemy układać nowy rozkład jazdy.

W tym roku zamierzamy poprawić warunki dojazdów ludzi do pracy i szkół. W pierwszej kolejności interesują nas trasy: Łomża—Kolno, Łomża—Jedwabne—Radziłów, Kolno—Szczuczyn, Grajewo—Szczuczyn, Grajewo—Rajgród, Łomża—Zambrów.

— Co reforma przyniosła przedsiębiorstwu?

— W tym roku kupiliśmy dwa autobusy typu Berliet i trzy typu Autosan, ale trzeba było skasować sześć wyeksploatowanych. Po wprowadzeniu reformy tabor musimy kupować za zarobione pieniądze. Wystarcza nam ich na pokrycie 30 proc. ceny autobusu. Bank godzi się udzielać nam kredytu pod warunkiem, że sfinansujemy połowę ceny autobusu. Wiem, że problem kredytowania PKS-u rozpatrywany jest w Centrali NBP. W każdym razie do końca roku nie nabędzie ani jednej ciężarówki; jeśli będziemy mieli wystarczającą ilość pieniędzy, przeznaczymy je na zakup autobusów. W dalszym ciągu są problemy z ogumieniem; poprawiła się sytuacja z oponami, gorzej z dętkami. Do przednich kół wstawiamy łatanie dętki. Nie musimy mówić, jak to umniejsza bezpieczeństwo jazdy.

— Od czyjej decyzji zależy budowa łomżyńskiego dworca PKS-u?

— Proszę, oto wycinek z „Trybuny Ludu” z 1975 roku. Informuje się w nim o rozpoczęciu budowy wspólnego dworca PKS-u i PKP kosztów 70 milionów złotych. A tak są fakty: Po likwidacji wąskotorówki kolej miała nadzieję, że (jako rekompensatę) otrzyma nowy dworzec. Planowano budynek na wzór dworca w Nowym Dworze Mazowieckim. Miał być zlokalizowany obok bazy PKS-u. Sprzeciwił się temu ówczesny naczelnik powiatu, który stwierdził, że nie będzie chciał tak ważnego obiektu w opłocie. Kolej skwapliwie skorzystała z tych wahań i wycofała się z przedsięwzięcia. Niedawno wojewoda łomżyński skierował do ministra Komunikacji wniosek o zgodę na postawienie dworca lub adaptację części budynków zajezdni PKS-u. Odpowiedź była negatywna: do roku 1985 minister nie widzi możliwości (z braku pieniędzy i materiałów) rozpoczęcia budowy dworca. Próbowaliśmy uzyskać cały budynek tzw. hali biskupiej, jednak bezskutecznie. Pomieszczenie, które otrzymaliśmy, niewiele poprawiło warunki odprawy podróżnych. Niełatwo się tam też pracuje. Np. do pokoju przeznaczonego na odpoczynek kierowców nie dociera światło dzienne. Kuria nie zgodziła się na wykonanie okna z drugiej stro-

ny budynku. Wracając do pytania: decyzja zależy od wojewody i ministra Komunikacji.

— Na placu dworcowym jest brudno. Brakuje tam stałych barier, które zmuszałyby pasażerów do ustawiania się w kolejkach. Czy dyżurny peronowy, jak np. w Olsztynie, nie mógłby pilnować porządku przy wsiadaniu do autobusów i hamować wybuchy bardziej nerwowych kierowców?

— Jeden człowiek nie utrzyma placu w idealnej czystości. Teraz, kiedy nie obowiązują nas limity zatrudnienia, moglibyśmy zatrudnić więcej sprzątających, ale na ciasnym placu manewrowym mogłoby

tabor mój wizję ogromny

dojść do wypadków. Nie byłoby tyle śmieci, gdyby autobusy zatrzymywały się w jednym miejscu, ale nie ma gdzie urządzić przystanku dla wysiadających. Winni są też podróżni, którzy opróżniają kieszenie na środku placu.

Oczywiście, będzie można zatrudnić dyżurnego peronowego, ale dopiero w przyszłym roku. Miałby ułatwioną pracę, gdyby przy dworcu istniał posterunek MO. Walczymy o to od kilku lat. Na potrzeby posterunku przeznaczyliśmy dawne pomieszczenie dyżurnego ruchu.

— Czy pasażerowie przy braku miejsc siedzących, mogą stać w autobusach?

— Każdy autobus jest zarejestrowany na określoną ilość pasażerów, np. w autosanie są przewidziane miejsca stojące, w sanosie — nie. Kierowcy najczęściej zabierają niesymalną ilość pasażerów. Nie możemy jednak nakazać, aby robili to wszyscy. Autobus przeciążony nie szczy się szybciej i należy go prowadzić z najwyższą ostrożnością.

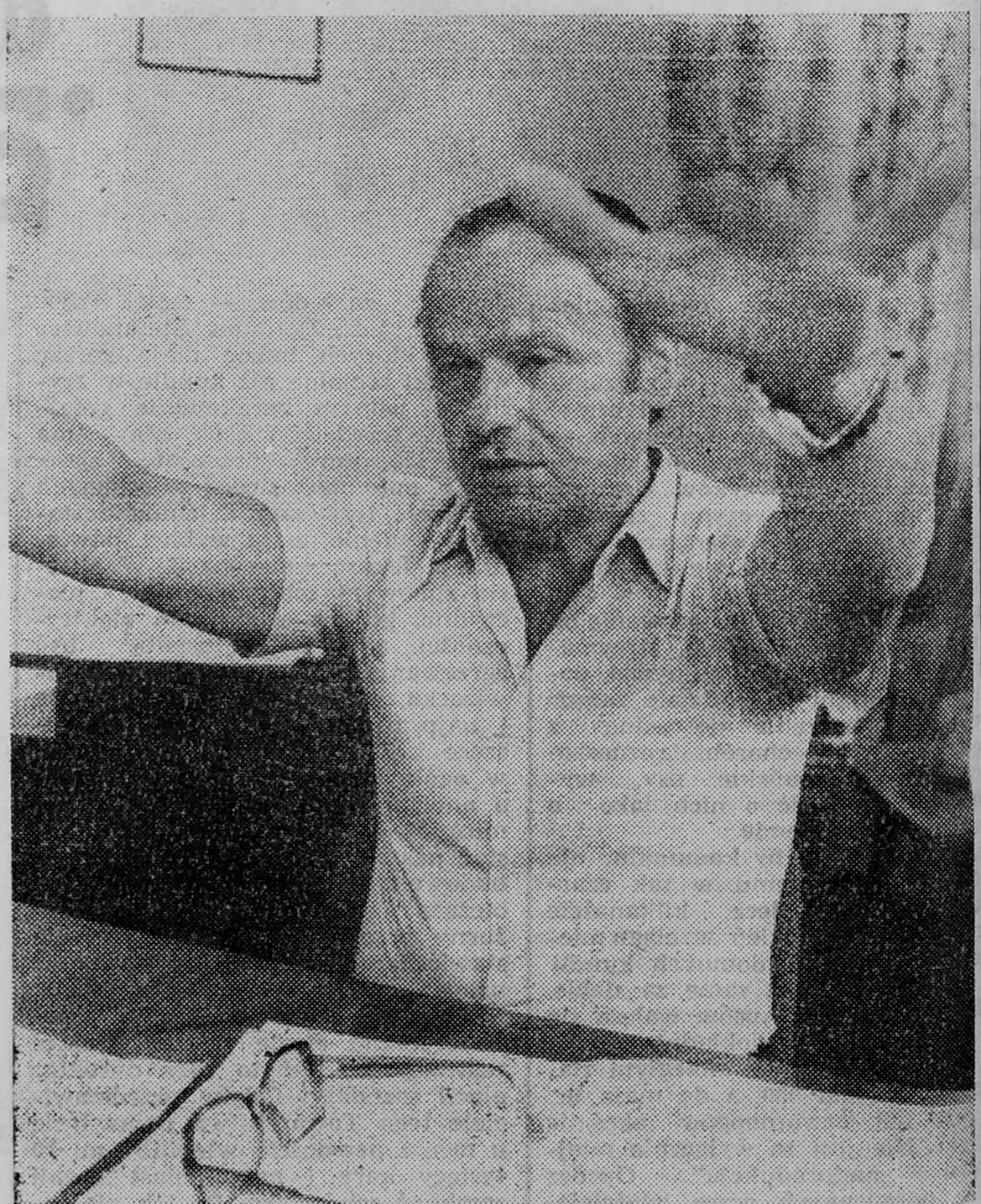
— Wiele połączeń autobusowych zastrzeżono tylko dla posiadaczy biletów miesięcznych. Często są to jedynne połączenia odległych miejscowości ze stolicą województwa.

— Do połowy roku 1981 nie przestrzegaliśmy zasady „tylko dla posiadaczy biletów miesięcznych”, ale mieliśmy wiele skarg od osób dojeżdżających do pracy i szkół. W tym roku w 87 proc. zaspokajamy potrzeby posiadaczy biletów miesięcznych. Wyznaję pogląd, że pozostali pasażerowie mogą do Łomży dojechać później, korzystając nawet z przesiadek.

— Z Sokół łatwiej dojechać do Łomży niż do Wysokiego Mazowieckiego; z Goniądza do Moniek, a nie do Grajewa. Dawne powiaty są siedzibą wielu rejonowych instytucji.

— Zakładaliśmy, że po reformie administracji zmniejszy się ilość podróży na trasie Łomża—Białystok, zawiesiliśmy część linii, ale byliśmy zmuszeni uruchomić je ponownie. Tradycyjne więzi są mocniejsze. To samo dotyczy Moniek i Łap. Tutaj połączenia obsługuje Oddział w Białymstoku. Uruchomiliśmy dodatkowe połączenie Goniądza z Grajewem; pilnie potrzebny jest jeszcze jeden kurs z Goniądza do Łomży i z powrotem, ale nie mamy autobusu. Tuż przed odjazdem autobusu do Goniądza o 16.15 podstawiamy dodatkowy do Wizny; odwozi pasażerów wysiadających bliżej. Podobna sytuacja jest na trasach do Kolna i Radziłowa. Tu też uruchomiliśmy dodatkowe linie: do Rogienic i Jedwabnego. Na załatwienie wszystkich dziur komunikacyjnych łomżyńskiego potrzebny stale sprawny tabor, czyli dużo pieniędzy.

Fot. GABOR LÖRINCZY



Jak pa...
raz słysz...
modlitwy...
cisze str...
ki.

— Zara...
nowania...
przysługu...
skich. Je...
bo pojech...
Gdy wró...
Niemcy...
złoty...
Niemiec...
samogon...
stałych...
sługujący...
czyk. Cz...
Niemcy...
wywieżę...

Wiesz n...
wtedy: a...
„Słuchaj...
dów —
jaj, kart...
bo tylko...
nieszcześ...
raz u na...
li potem...
Rządkow...
koju. To...
mi przyw...
byśmy tu...
przez kil...
Byłem...
kiedy na...
ły dwie...
dzi. Nie...
wdrapał...
za swój...
biedakac...

Kiedys...
przedwoj...
wa. To l...
w dole...
bimber...
darmierii...
ustąpił, z...
straszyl...
znalazł...
wi: „Sok...
dół i ni...
niemieck...
to jeszt?...
nut powi...

Złapał...
pchnął...
zoną i s...
cił do d...
ze wsi...
chłopiec...
dził!” F...
człowiek...
uciekł.

Zona...
la, jak...
kiego, z...
Pracowa...
farnej.

— Ach...
to był z...
się do...
dził do...
i nawet...
„Zapłaci...
— a lek...

S

D

oni...
ni...
we...
cjach w...
działa...
najlepsz...
wiekieg...
klasy. Z...
tych, co...
blawatny...
i dwójgi...
nad 60 o...
Kobiet...
Widziały...
w kierun...
den z o...
nów: „C...
Komorni...
dzieci, c...
nawet —
bo nie...
wziąć z...
niu je...
świecie...
tej strac...
— To...
wiek do...
miarów...
mówi Pa...
dzili, że...
chodziło...
straszyć...

Franci...
ny nauc...

Jakub Sliwka, w czasie okupacji — sołtys wsi Rządowo, liczący dziś 79 lat, nie raz słyszał dobiegające stąd słowa modlitwy, płacz, rozrywające leśną ciszę strzały, szczekanie psów, jęki.

— Zaraz na początku swego panowania przywieźli tu starców z przytułku w Pieńkach Borowskich. Jedną ze starszek ocalała, bo pojechała akurat do znajomych. Gdy wróciła i dowiedziała się, że Niemcy wywieźli ich w inne miejsce, zgłosiła się na żandarmerię. Niemiec o nazwisku Frajer dał jej samogonu i zaprowadził do pozostałych. Opowiadał mi o tym, wysługujący się okupantowi, Jakubczyk. Często ostrzegał nas, gdy Niemcy chcieli kogoś zabrać lub wywieźć na roboty.

Wies nasza zawsze była zgrana, a wtedy nawet kija by nie wetknął. „Słuchajcie — mówiłem do sąsiadów — trzeba dać trochę masła, jaj, kartofli, i pojechać do Łomży, bo tylko to nas może uchronić od nieszczęścia”. Żandarmi, którzy nie raz u nas pili bimber, podpowiadali potem swoim szefom: „Tych z Rządowa trzeba zostawić w spokoju. To są obywatelskie ludzie. Sami przywożą swoje produkty, jakbyśmy tu rządili już co najmniej przez kilkadziesiąt lat”.

Byłem też w lesie 15 lipca 1943, kiedy na miejsce straceń zajechały dwie budy. Wypędzili z nich ludzi. Niektórych znałem. Mój syn wdrapał się na drzewo; uważaliśmy za swój obowiązek donieść o tych biedakach ich najbliższym.

Kiedyś przyszedł do wsi Radko, przedwojenny mieszkaniec Zambrowa. To było kawał s... Za stodołą, w dole po ziemniakach, gonilem bimber; trzeba było, bo kto z żandarmerii się przywlokł, musiałem go upić, żeby nie laził po wsi i nie straszył ludzi. A Radko urzędowania znalazł, przyszedł do chałupy i mówi: „Sołtys, chodź tu!” Pokazuje dół i niby to po polsku, niby po niemiecku, mówi do mnie: „A co to jest? Nie wiesz? Za pięć minut powiesz”.

Złapał go łapami za gardło i wepchnął do dołu. Zrobił to samo z żoną i sąsiadem, a na koniec wrzucił do dołu chłopca, który nadbiegł ze wsi. Już odcigał zamek, kiedy chłopiec krzyknął: „Powiem, kto pędził!” Po czym podał nazwisko człowieka, który już dawno ze wsi uciekł.

Zona sołtysa (nieżyjąca) widziała, jak 15 lipca gonili Komornickiego, znanego w Łomży aptekarza. Pracował pod filarami, tuż przy farnej.

— Ach — wzdycha sołtys — co to był za dobry człowiek. Zaszedł się do niego o północy, to schodził do apteki, przynosił lekarstwo i nawet pieniędzy nie potrzebował. „Zapłacić zawsze można — mówił — a lekarstwo musi być na czas”.

wspiera pamięć zapiskami w poślizgnięciu. Wiesław Hojak miał 4 lata. Chciała go uratować jego babcia, prosiła gestapowców, ale zagrozili jej użyciem broni. Córka Lubowickich, Zofia, miała 18 lat; w 1939 zrobiła maturę. Oboje Lubowiccy pracowali w łomżyńskim gimnazjum. Janusz Tyszkowski liczył 8 lat, a jego rodzice uczyli w Szkole Powszechnej. Grzegorz Wiśniewski nie przekroczył 11, Stefan Wiśniewski — 13 lat.

W Państwowym Archiwum w Łomży znajduje, trwalsze niż pa-

mięć, relacje naocznych świadków zbrodni, spisane 5 lipca 1945 r. Nieżyjący już Antoni Sliwka, syn Feliksa, urodzony 9 lipca 1904 r., zeznawał wówczas: „Pod koniec września lub w pierwszych dniach października 1944 roku, znajdując się przed swoim domem zauważyłem samochód ciężarowy, kryty, z oknami i drzwiami, od tyłu przyczepą, na której znajdowało się drzewo i beczki, kierowany przez osobnika w mundurze niemieckim. W samochodzie tym, przy otwartych drzwiach, znajdował się żan-

darm. Jak później opowiadał pasterz gromadzki, Wykowski Kazimierz, w samochodzie tym, poza żandarmami, znajdowało się kilka osób w cywilnych ubraniach, obrośniętych, zbiedzonych, mających wygląd więźniów.

Samochód ten udał się w stronę lasu. W międzyczasie udałem się z rodziną swoją na pole w celu kopania kartofli. Około godziny pierwszej w południe usłyszałem kilka pojedynczych strzałów i zwróciwszy się w stronę lasu zauważyłem słup dymu czarnego, unoszącego się z miejsca, gdzie znajdowały się mogiły zbiorowe pomordowanych przez Niemców.

W kilka dni później, wykonując kolejkę przy pasieniu bydła, wraz z wyżej wymienionym pasterzem udaliśmy się na miejsce zbiorowych mogił i tam kilka metrów od mogiły zamordowanych zakładników miasta, przesypane już trochę ziemią, znaleźliśmy palenisko, a raczej jego ślad, a na nim znaleźliśmy niedopalone kości (prawdopodobnie dziecięce żebro i kość stawową ręki lub nogi — piszczel), nadpaloną książeczkę do nabożeństwa, kiść włosów ludzkich jasno-blond (prawdopodobnie dziewczynki). Wyżej wymieniony pasterz Wykowski oświadczył mi, że również widział uraczający samochód ciężarowy z ognami tego samego dnia, jednak cywilów już w nim nie było”.

Jego syn, Tadeusz dopisał inne szczegóły: „Pod koniec września lub października około godziny 6 wieczorem jechałem rowerem przez las jeziorowski szukając krowy. Zauważyłem ogniska na zbiorowych mogiłach rozstrzelanych przez Niemców Polaków. Żandarmi niemieccy w liczbie kilkunastu, w maskach przeciwgazowych, znajdowali się naokoło mogiły. Dokoła było czuć swąd przykry w zapachu, spalenizny. Zrozumiałem, że Niemcy niszczą trupy pomordowanych. Bojąc się, by mnie nie zauważono, zawróciłem i odjechałem do domu”.

Najpełniejszą relację zbrodni w Jeziorowskim Lesie 15 lipca 1943 r. podaje świadek w publikacji Haliny Auderskiej, zamieszczonej w książce „Die neue Ordnung Europas”. „W tym dniu kilkunastu nas chłopców karczowało las w majątku pod Łomżą. Zaledwieśmy rozpoczęli pracę, nadjechały samochody z Łomży: Niemcy mundurowi i dużo polskich mężczyzn, kobiet i dzieci, a nawet niemowląt. Powywielekali ich widać z mieszkań, bo nie wszyscy byli całkiem ubrani. Zauważyłem starszego pana w szlafroku, jedną z matek z maleńkim dzieckiem na ręku, w jakimś domowym, białym stroju. Wszyscy zacieli się w milczeniu, słysząc tylko płacz najmłodszych dzieci.

Niemcy podeszli do nas i kazali nam kopać rowy. Niejeden z nas zadrżał ze zgrozy, usta zbierały jak



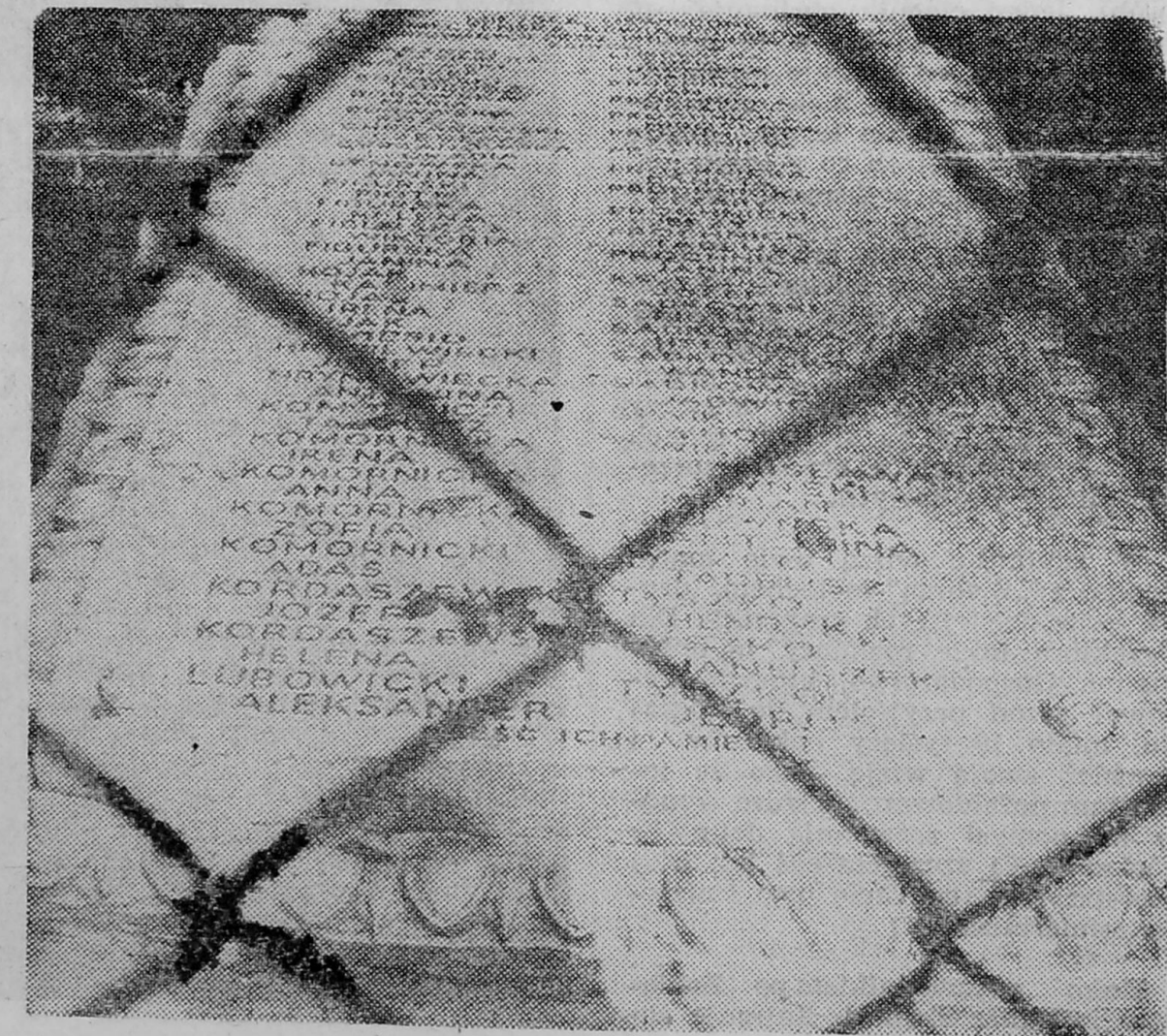
s m a k g o l g o t y

Donata Godlewska, kierowniczka Archiwum Państwowego w Łomży, o egzekucjach w Jeziorowskim Lesie dowiedziała się zaraz po stracie swojego najlepszego nauczyciela, Hryniewieckiego. Uczył ją od pierwszej klasy. Zabrali wtedy Smużyńskich (tych, co mieli w Łomży duży sklep bławatny), a także Tyszkę z żoną i dwojgiem dzieci; w sumie — ponad 60 osób.

Kobiety kopaly wtedy kartofle. Widziały, jak gonili ich od Polnej w kierunku Szkoły Handlowej. Jeden z ojców mówił do swoich synów: „Odwagi, chłopcy, odwagi”. Komornickiego wzięli z trójgiem dzieci, ciężarną żoną i teściową, a nawet — służącą. Ale tę zwolnili, bo nie była na liście. Kazali im wziąć z sobą rzeczy, ale w więzieniu je odebrali. Wyciągnęli ich o świcie z mieszkań, a już o dziesiątej stracili.

— To stało się tak nagle, że człowiek do dziś nie może sobie rozmiarów tej zbrodni uświadomić — mówi Paweł Narolewski. — Twierdzili, że biorą zakładników, ale chodziło tylko o to, aby ludzi zastraszyć.

Franciszek Wasażnik, emerytowany nauczyciel i inspektor oświaty,



papier. Ale co było robić? Było nas za mało, aby dawać opór, zresztą Niemcy byli z karabinami maszynowymi, zagrozili nam śmiercią w razie oporu. Popychani i bici przez żołnierzy zaczęliśmy więc kopać.

Niemcy od razu oddzielili wszystkich mężczyzn i ustawili ich w szeregach. Potem nie dostrzegłem dobrze, jak to się stało, ale zaczęli nagle uciekać od tych odstawionych. Tameci zaś wydali zbiorowy, straszny, niemal zwierzęcy krzyk. Szeregi chwiałały się, łamały, wszyscy mężczyźni rękami chwytali się za twarze i jęczeli przejmująco. Zrozumiałem, Niemcy luneli im w oczy jakimś gryzącym kwasem. Wszyscy skazani mieli strasznie czerwone twarze i zasłaniaли rękami oczy. Widocznie oprawcy bali się swych ofiar, że mężczyźni nie zniosą widoku mordowania swych rodzin i rzucą się z gołymi rękami na uzbrojonych katów. A może popełnili to okrucieństwo bez powodu, po prostu dlatego, że mają je we krwi?”

STANISŁAW
ZIELINSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

W Jeziorcu zginęły łącznie 63 osoby z 19 rodzin.



bajka

W samym sercu bagien kuwaskich, w uroczysku Klimkowo, zlokalizowano w roku 1951 „sztandarową inwestycję lat pięćdziesiątych”. Czarownice, upiory i czarty, mające tutaj siedlisko, zostały przepędzone na cztery wiatry. Przyszło „nowe”, wykarczowało 300 hektarów bagiennego lasu i przekopało Kanał Kuwaski do Jeziora Rajgrodzkiego. Pewnego dnia z bagien trysnęło... mleko.

„Biebrza” stała się naturalnym laboratorium, mającym dać odpowiedź na pytanie, czy można użytkować rolniczo gleby torfowe, a



wi harują jak i my, całutki boży dzień, świętek i piątek. Aż dziś! Bo tu wszystkie kolchozy w okolicy tylko na zmarnowanie robią.

konserwacją urządzeń melioracyjnych; młody, ale już z pewnym stażem w tej branży. Zajeżdżamy tarpanem na plac. Dopiero tutaj widzę kontrast między obszarem „Biebrzy” a tymi kilkoma obórkami, teraz pustymi, w które krowy upychać trzeba jak śledzie w beczce. Zaglądam do środka. Nie ma „rurociągów białym płynem wypełnionych”. Nie ma też „cystern i przetwórní różnego rodzaju”. Obory wymagają kapitalnego remontu i nowoczesnego wyposażenia; taczka i widły stanowią tu nadal szczyt mechanizacji. Przewyższają teraz stawiane betonowe koncentryjniki warunkami zdrowotnymi — ich budulec to cegła i drewno.

Na podwórzu pod warsztat zajeżdża kosiarka samobieżna. Nie wy-

trzymała zespawana część; oryginalnej brak. Można pogadać, zapalić. Rozmowa zaczyna się od sakramentalnego w tych czasach zdania: — Panie, co to pisanie pomoże?

Jednak po krótkich przetargach mówią: dla celów dokumentacyjnych.

— My ten Zakład nazwali „przymusowy obóz pracy” — rozpoczyna jeden z weteranów (27 lat stażu w „Biebrzy”) robotnicze „grona gniewu”. — Jak tylko zjeździe śnieg z łąk, aż do następnych śniegów zaiwaniamy, od rana do zapadu.

— Nasze życie: robota i trochę snu. To, co u nas jeden wypracuje do emerytury, w innej pracy dwóch nie wyrobi.

Arkadia na

tym samym zdecydować o losie miliona trzystu tysięcy hektarów takich gleb w Polsce (ok. 6 proc. użytków rolnych). Obraz „łąk bezkresnych, falujących zielono aż po horyzont”, podniecał wyobraźnię.

Zakład objął w posiadanie 640 hektarów pól (400 — gruntów ornych i 240 — zielonych) i w tym kształcie dotrwał do roku 1980. Przeprowadzone doświadczenia dały odpowiedź na wiele pytań, prócz podstawowego: czy można już meliorować torfy na wielką skalę. Mimo to ówczesne władze województwa białostockiego, nie zrażone porażką poniesioną na 11 000 hektarów bagien wiżnińskich, w których utopiono setki milionów złotych, a przede wszystkim pracę ludzką, zdecydowały się również w „Biebrzy” — jako że do trzech razy sztuka — „pójść na całość”. W roku 1975 I sekretarz KW PZPR w Białymstoku, Zdzisław Kurowski, przywiózł do Zakładu wielką nowinę: „Program rozwoju organizacji produkcji rejonu Bagno Kuwasy”, opracowany przez olsztyńską pracownię Biura Studiów i Projektów Wzorcowych Budownictwa Wiejskiego w Warszawie. Program — podparty „naukowymi” argumentami i „ścisłymi” wyliczeniami — głosił, że do roku 1980 Zakład powiększy się do 2200 hektarów, a do 1990 osiągnie 5000. Gdy świat doszedł do wniosku, że „małe jest piękne”, u nas ciągle próbowano przeskoczyć piramidę Cheopsa.

Zaloga nie wpadła w entuzjazm; tak dzisiaj relacjonują tamto historyczne zebranie: — Mówiliśmy, że z motyką na słońce. lecz kto nas słuchał! Naukowcy z „Biebrzy” też widzieli bezsensowność tego zamierzenia, ale ktoś akurat w tym czasie musiał gdzieś wyjechać itd. Otwartego sprzeciwu nie było. Wówczas wszelkie księżycowe decyzje władz przyjmowano za dopust boży.

„Gdyby utrzymać wszystko w tym samym kształcie (jak do roku 1975 — przyp. A.J.S.), pozostałyby jeszcze do załatwienia remonty kilku domów [...] drobne naprawy budynków gospodarczych” — pisał Sidorowski o normalnym, przynoszącym pierwsze zyski, funkcjonowaniu Zakładu. A gdzie romantyka, rozmach, sukces? „Gospodarstwo przemieni się w fabrykę mleka i mięsa — bujał w obłokach reporter cytując „Program” — wybuduje się kilkaset izb mieszkalnych [...], zostanie zbudowane nowe ujęcie wody, oczyszczalnia ścieków, szkoła, wytwórnia pasz, suszarnia [...] Razem z robotami melioracyjnymi, drogowymi jest to prawie miliardowa inwestycja”. Miało się ten gest.

cyf-iskierka zgasła

Z drogi augustowskiej, osiem kilometrów za Grajewem, skręcam w prawo: „Biebrza — 3 km”. Po obu stronach asfaltówki gorączka sianobrania.

— Kiedyś tu baba musiała kieckę pod brodę zadzierać, żeby przejść — opowiada prawie 60-letnia gospodyni nie odrywając się od wideł. — Koń po becht wpadał. Zakłado-

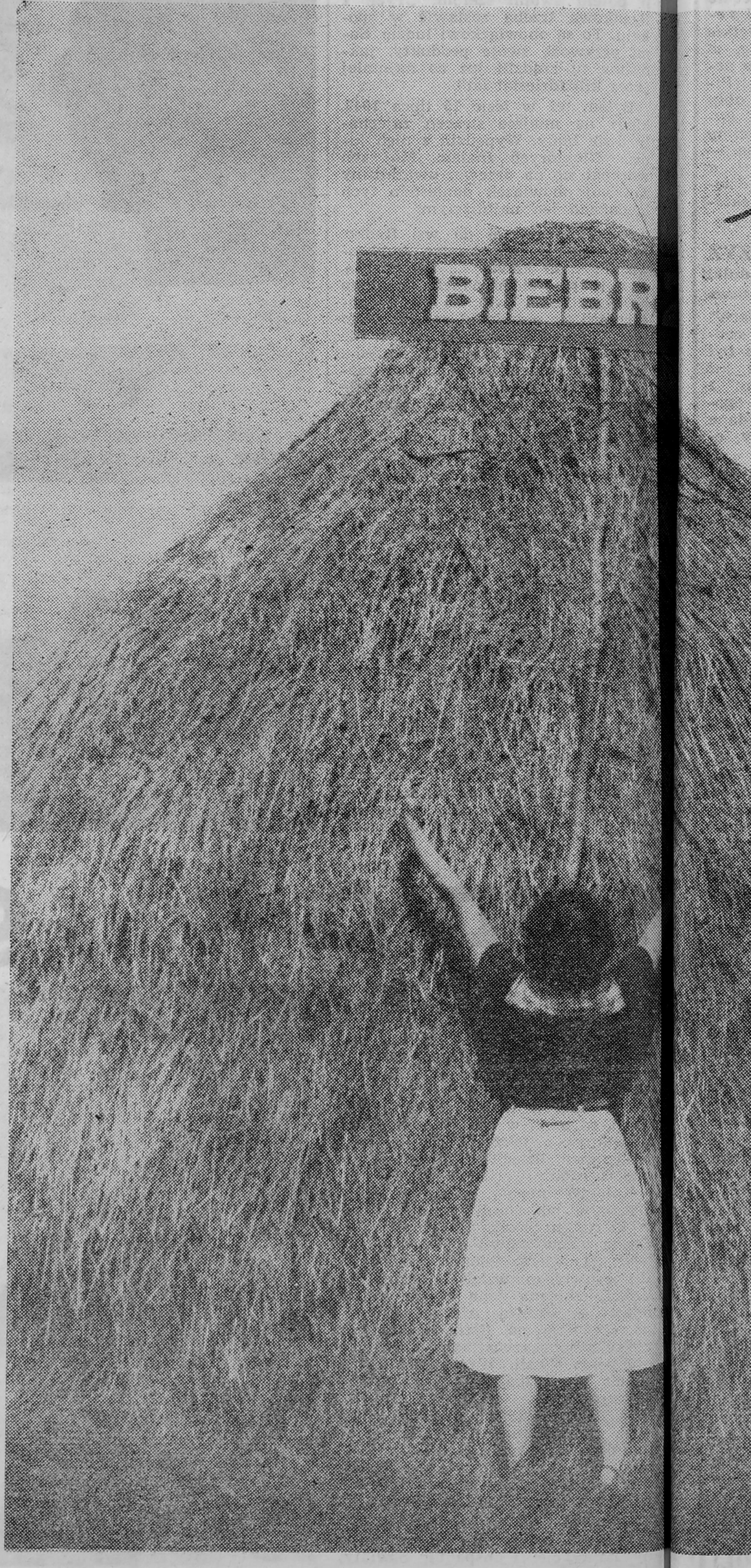
Zakład znalazłem tylko z opisu Sidorowskiego, więc byłem przygotowany do ujrzenia Morusowskiej wyspy Utopii. Gdy minąłem las, przywitał mnie metalowy krzyż z tabliczką: „Jezu chroń nasze rodziny od nagłej i niespodziewanej śmierci. Biebrza 6 IX 1981”. Obok krzyża — hasło, sądząc po wyblakłych literach, stojące tam od dawien dawna: „Człowiek — jego dobro, wszechstronny rozwój — nadrzędnym celem socjalizmu”. Jedyne, jak się przekonałem po zwiedzeniu Zakładu.

Pierwsze wrażenie budujące: czystość, ład, porządek. Mijają mnie wywrotki ze żwirem. Czyli wizja przybiera realne kształty — myślę w duchu.

Rozmowę z dyrektorem (lat 43, od 1958 r. kieruje PGR-ami, do Biebrzy przyszedł w 1978, jako czternasty z kolei naczelny) zaczynam od cytatu „Żywotów bagiennych”. — Tak, tak — uśmiecha się pobłażliwie — najpierw było wielkie halo na skalę europejską, później trochę stonowano, a teraz wokół nas głuche milczenie. A z wizji została mała wizyjka, z którą borykamy się co dzień. Przyjęto masę użytków zielonych, na szczęście nie tyle, co planowano. Mamy teraz 1500 hektarów. Baza, wybudowana w latach pięćdziesiątych, była wystarczająca na tamten areal. Za melioracją nie poszły inwestycje mieszkaniowe i gospodarcze. Rezultat jest taki, że z zeszłego roku zostało nam 1000 ton kisonki. Teraz kończymy pierwszy pokos, 4 tony trawy z hektara. Nie mamy takiej ilości krow, by spaść tę lawinę siana. Wysokie plony są naszą zimą; szalony nadmiar paszy — bogactwa, które jest cholerną biedą. Dopiero teraz budujemy fermę na 250 krow i cielętnik, ale to jedynie złagodzi problem. Wydzierżawiliśmy rolnikom 300 hektarów łąk. Bez tego w ogóle bym nie ruszył. Na 100 hektarów mam 6 pracowników, a powinno być 10 (zakład zatrudnia 170 osób). Jeden ciągnik obsługuje 45 hektarów, a powinien o 10 mniej. Ludzi nie ma, bo brakuje mieszkań. W budowie są dwa bloki ośmiordzinne, ale tylko do fermy muszę zatrudnić 18 osób, a co z suszarnią, którą stawiamy własnymi siłami? Mimo to mieliśmy w zeszłym roku 11 milionów złotych zysku: 308 000 litrów sprzedanego mleka i 180 ton żywca. W tym roku planujemy pięciomilionowy zysk. (Zakład posiada 830 sztuk bydła — przyp. A.J.S.), bo przez sześć miesięcy 1982 jechaliśmy na starych cenach zaopatrzeniowych, a produkt sprzedawaliśmy po nowych.

W gabinecie wiszą dwie mapy. Jedna z „Biebrzą”-molochem, druga — w dzisiejszych granicach. Dla dyrektora takie rozmiary są optymalne. Gospodarstwo, którym kierował przed przyjściem do Zakładu, miało 10 tysięcy hektarów i również swoją wizję. Jako że teren tam pofałdował, władze wpadły na pomysł zrównania dolin z górkami. Na szczęście coś lub ktoś powstrzymał realizację tego śmiałego zamierzenia.

Moim przewodnikiem po Zakładzie jest inż. Skąpski. Zajmuje się



ginal-
palić.
amen-
ia: —
? —
rgach
tacyj-
—
pry-
czyna
zu w
gnie-
eg z
w za-
—
rochę
acuje
wóh

— Jak są sianokosy — odzywa się najmłodszy w tym gronie — wszyscy powinni iść na akcje, od sprzątaczk do dyrektora, tak jak do pożaru, a nie garstka ludzi tyra jak niewolnicy na resztę.

Tej nocy spłonęła paszarnia. Kto żył — łącznie z dyrektorem — wybiegł gasić.

— Ja kartkę dostał na podkoszulę i skarpety. Chciał dyrektorowi oddać, bo nie szło nawet na godzinę się uwolnić, żeby kupić.

Dużo spraw jeszcze zostało na wątrobie, ale trzeba zawieźć obiad brygadzie polowej. W drodze do stołówki inż. Skąpski przyznaje, że lekko nie jest.

— Geodeci raz dwa wywłaszczyli gospodarzy i nagle, w roku 1981, obszar niemal się potroił, a ludzi do pracy tyle samo, co przedtem.

Przejeżdżamy obok 16 foliowych namiotów. Od lat Zakład uzupełnia budżet hodowlą pomidorów. Droga na Otoczne — najdalszy zakątek „Biebrzy” — prowadzi malowniczą, piaszczystą drogą. Po obu stronach łany zbóż, kartofliska bez cienia chwastu, lasy chroniące głębę przed wiatrem i przesuszeniem, no i oczywiście łąki, „zielone piekło” — jak tu się mówi. Przed laty wywożono na Otoczne ludzi na cały tydzień. Nocowali na sianie pod plan-deką.

Czternastu ludzi, w większości młodych, odrywa się na czas naszego przyjazdu od stożenia. Kto żył

ny bądź ziemniaki z działki 25-arewej, mieszkanie, za które nie płaci się czynszu. W sumie sporo tego się uzbiera.

— Może tylko kominy płacowe są za duże w produkcji zwierzęcej — zastanawia się inż. Skąpski. — Taki kierownik stada (dawniej: pastuch — przyp. A.J.S.) jest drugi po dyrektorze na liście płac, ale też pracuje za trzech.

Przed odjazdem z Otocznego inż. Skąpski objaśnia mi topografię okolicy: — Tam — wskazuje oddaloną wysepkę — gospodarzył Pachucki. Ludzie mu na wypas bydła przypędzali. W rybki można było się u niego zaopatrzyć. Jego wysepka stanowiła znakomitą kryjówkę dla partyzantów. Raz oddział nie-

spiećcia



9
KONTAKTY
31 VII 83

Niezwykłe świadectwo wzrostu możliwości wsi zostawili po sobie w Sniadowie drogowcy modernizujący trasę Łomża—Ostrów Maz.: pięknie wyasfaltowane wjazdy do prywatnych posesji i wspaniałe wyboje do instytucji państwowych. Wiedział poeta, co mówi, twierdząc: „Chłop potęgą jest”. Jak zaduje w złoty róg. Mamony.

W osiedlu Jantar w Łomży kilku wyrostków upodobało sobie przenoszenie zaparkowanych samochodów. Nie było to zwykłe chuligaństwo: za wycieraczką zostawiali przestrożę, by właściciel przestał parkować na trawniku. W związku z tym ogłaszamy konkurs na nazwę ochroniarzy środowiska. Bo nie oni — zieloni.

Ze zmierzającego do Łomży pociągu skradziono tonę preparatu przeciwko stoncy, czyli żukowi nąsanemu z Colorado. Sprawcy ulotnili się ponoć jak kamfora. My jednak wiemy swoje: nie z nami takie numery!

Łomżyńskie sklepy spożywcze informują P.T. Klientów specjalnymi wywieszkami, że „Ptasie mleczko sprzedaje się na rozwałę”. Niegdyś polecano na rozum olej, pestki lub orzechy — bez ograniczeń. I też nam się nie przelewało.

Od dłuższego czasu kioski „Ruch” usytuowane przy Placu Wolności, czyli dworcu autobusowym w Łomży, pędzą pasażerów informacją: „Biletów PKS brak”. Dzięki temu przed dwiema kasami wije się w dusznej poczekalni nieustająca kolejka. Traktując kogoś jak pokorne ciętę łatwo zarobić na miano pastucha.

Przy skrzyżowaniu ulicy Nurskiej z Zarebską, Mazowiecką i Zambrowską w Czyżewie — miejscu stłuczki i poważnego wypadku drogowego, którego epilog kłuje się w sądzie — źle ustawione znaki zastania bujną zielenią drzew. Zadanie dla przed-szkolaka — czy liczenie: „Do trzech razy sztuka” świadczy o używaniu mózgu?

Prywatny handel jawi się jeszcze nieodłącznie z takimi pojęciami, jak solidność, kultura, jakość. W łomżyńskich warunkach próbują go udawać kwaciarnie i, za przeproszeniem, agencje. O jakości i cenach kwiatów już było, teraz kwiatek z agencji, rodem ze sklepu WPHW „Dziwiarstwo” przy ulicy 22 Lipca w Łomży: „Chciałabym obejrzeć tę koszulę. Czy można ją rozpakować?” — pyta klientka. „Jak se pani kupi, to będzie mogła rozkładać.” Czyżby ten kij miał tylko jeden koniec?

u w a s a c h

spiesz do talerzy. Pismaka przyjmują początkowo chłodno: — Kiedyś tu był jeden i bzdur nawypisywał. Sidorski barwnie przedstawił perypetie miłosne mojego oponenta. Gdy obiecuje nie szperać w życiu prywatnym, pojawia się popularny i płynnie powtórka z zakładowego placu. Następnie dostaje się urzędosom, że więcej zarabiają, a widel do ręki nie wezmą, ani z bykami się nie szarpia.

— Nie chciałeś nosić teczek, zapieprzaj woreczki — konkluduje ktoś filozoficznie.

— A jakie są tu zarobki? — pytam.

— W sezonie wyciąga się 500 złotych dniówki, ale od szóstej rano do dwudziestej w polu.

— To ty wyciągasz 500, bo masz 23,50 na godzinę, ale nie my, młodzi.

Po urzędnikach atak przenosi się na naukowców: — W dziale naukowym tylko siuska gruszek obijają. Miałem sześciu panów nad sobą; ja zapieprzałem, a oni się przyglądali.

— Ten dział dawno należałoby skasować — pada drastyczna propozycja. — Żeby choć zyski dawał!

— Dział naukowy przynosi przecież zyski — inż. Skąpski stara się ostudzić co zapalczywszych w ich rewolucyjnych zapędach. — W każdym temacie jest wkalkulowany zysk.

— Jaki zysk? — podnoszą się zewsząd oburzone głosy. — Wyłudzenie pieniędzy! Ile państwo milionów włożyło w „barszcz” doktora Kowalczyka i wszystko na marne! — chodziło o roślinę, która miała dać potężne ilości zielonki.

— Na tym polega poznanie naukowe — perswaduje dalej inż. Skąpski. — Eksperyment ma dać odpowiedź, czy jest sens coś robić na większą skalę.

— Na początku nauka zrobiła dużo — przyznaje jeden ze starszych pracowników — ustaliła, jak nawozić, jak pielęgnować, ale teraz już wszystko wiadomo.

Koniec przerwy.

— Najlepszy artykuł — jeden z weteranów „Biebrzy” podsuwa mi pomysł na reportaż — to zebrać starych pracowników i opisać, jak się kiedyś pracowało.

Umawiamy się na wieczór. Ruszają transportery. Dziennie siedmioosobowa brygada układa dwie sterty siana po 15–20 ton każda. Na grzędzie (wyspa mineralna) stoi ich już 11, a jeszcze do skoszenia 80 hektarów łąk. Klęska urodzaju czy tromtadrackich wizji?

Brygadzysta Kazimierz Rutkowski oraz inż. Skąpski komentują dyskusję: — Proszę liczyć, do pensji dochodzi 15 proc. premii, 15 proc. dodatku trudnościowego i określony procent stażowego. Do tego deputat mleczny, 100 złotych miesięcznie, raz w roku ekwiwalent pienięż-

miecki zapędził się w pościgu i już tam został.

Takich bagiennych Drzymałów miała Biebrza więcej. Jeden z nich ziemię sprzedał, lecz zawarł umowę z Zakładem, że ma prawo mieszkać w domu, póki się ten nie zawali. Dyrekcja zgodziła się skwapliwie, bo budynek drewniany i dobrze naruszony zębem czasu. Tymczasem właściciel nocą zwiózł cegły, obmurował drewniane ściany i nadal gospodarzył. Tyle że dojeżdżał kilka kilometrów do własnego pola, zakupionego w miejsce sprzedanej pod przymusem działki.

— Ile mnie zdrowia zabrali — opowiada mi inny gospodarz, na którego grzędzie zbudowano Zakład, historię swej walki o ziemię. — Co rusz po kawałku pola mi urywali. Jeden z powiatu przyjechał i proponuje zamianę: dadzą mi ziemię pod Goniadzem. „To o samolot od razu proszę, bo ile to kilometrów dojeżdżać!” Byłem u sekretarza w Grajewie z dziećmi; mówię: „Przyjdzie mi się pod pociąg rzucić”. W końcu całą ziemię musiałem sprzedać, nawet ten drewniak nie jest mój, i pójść do roboty w Zakładzie.

Syn Skowrońskiego pracuje również w „Biebrzy”. Gdy pytam, czy chciałby samodzielnie gospodarować, gorąco zaprzecza. — Ja lubię w gromadzie pracować. W Zakładzie głowa mnie nie boli, że za mokro czy za sucho.

Nowe pokolenie; gdzie zasadzisz, tam wyrośnie. Przez całą powrotną drogę wierzę dziurę w brzuchu inż. Skąpskiemu pytaniem, czy meliorowanie bagien jest warte świeczki. Dowiaduję się w sposób mglisty, że koszty znaczne, że szybsza dekapitalizacja niż przy melioracjach na gruntach ornych, że w tej chwili trwają prace o dużo za późno rozpoczęte i od środka, zamiast od głównych grobli. Swego czasu kupiono za grube miliony radziecki projekt, według którego cały system melioracyjny miał działać za pociśnięciem guzika. Całe szczęście, że skończyło się tylko na projekcie.

— Czy odniesiono tutaj sukces, trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć — kończy inż. Skąpski tę kwestię klasycznym „na dwoje babka wróżyła”.

Po odstawieniu tarpana do garażu inż. Skąpski odprowadza mnie do biurowca, gdzie spędzę noc. Po obu stronach zakładowej uliczki domki-bliźniaki toną w ogrodowej zieleni.

Dopiero przy pożegnaniu dowiaduję się, że inż. Skąpski — wraz z jednym z pracowników Zakładu — zamierza próbować „czegoś” na własną rękę. Przed nim uczynił to jeden z brygadzystów: otworzył w Grajewie zakład wulkanizacyjny.

— Wie pan, nie wprawia mnie w zbytny zachwyt sposób w jaki przeprowadza się melioracje — wyjaśnia swoją decyzję inż. Skąpski.

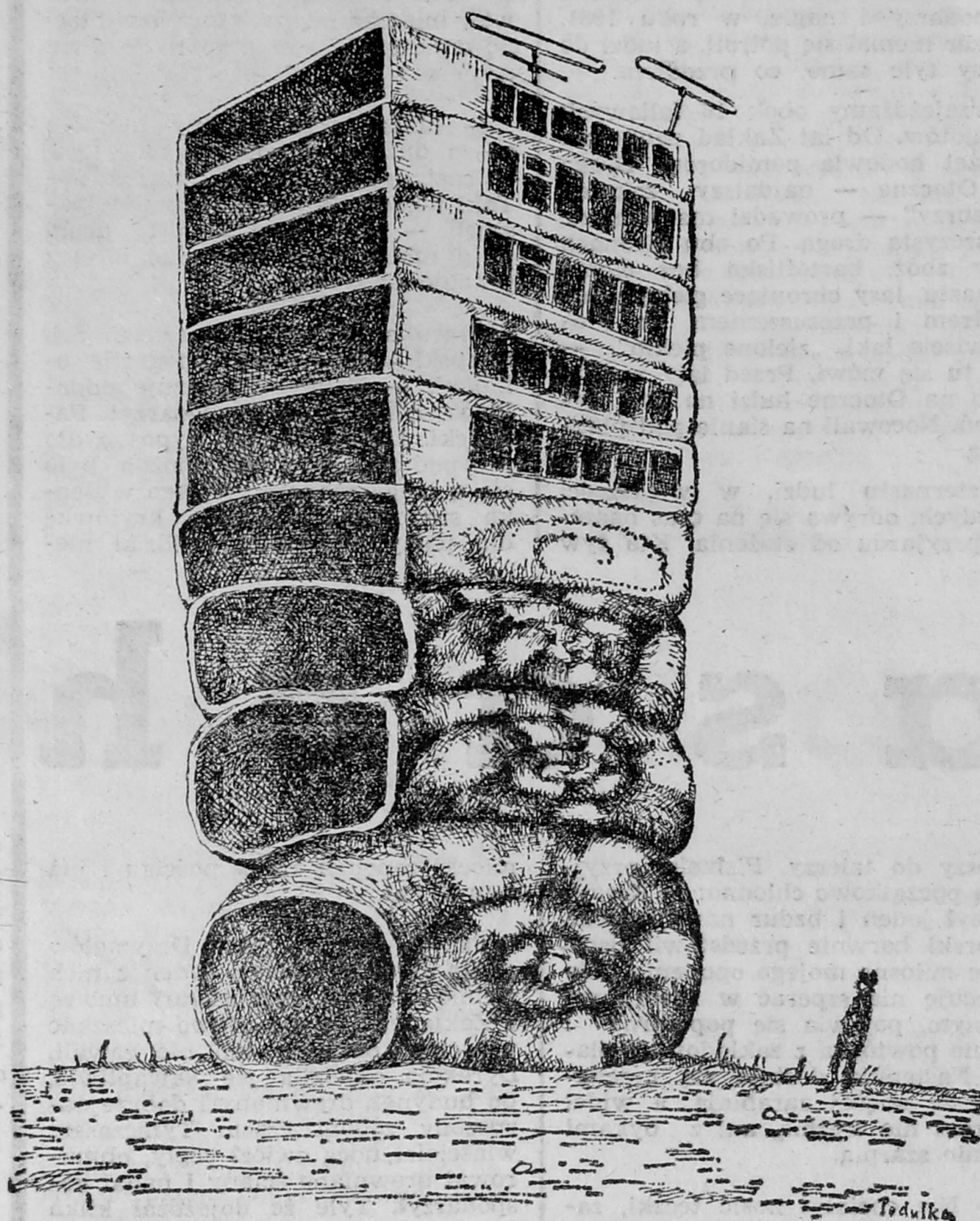
(cdn.)

Fot. GABOR LÖRINCZY

kanciaty świat

Około 4.00 nad ranem obudziło mnie złe przecucie. Przez cienką zasłonę przeświecał intensywnie księżyc. Znajdowałem się w całkiem zwyczajnym pokoju: kanciastym prostopadłościowym, złożonym z prostokątnych ścian, o wnętrzu wypełnionym prostopadłościowymi meblami.

Nagle uświadomiłem sobie również rzecz okrutną: kiedy zechcesz, obywatelu, kupić sobie mebel, najpierw musisz zbierać pewną ilość prostokątnych banknotów, następnie włożyć je do prostokątnego portfela i udać się przez prostokątne drzwi, po kanciastych schodach, przez prostokątną siatkę ulic, do



prostopadłościennego pawilonu handlowego, zapelnionego (wprawdzie przez moment, ale zawsze...) kanciastymi meblami, wykonanymi z płyt wiórowych, paździerzowych itp. materiałów, wynalezionych przez ludzi o niezdrowych myślach, którym się wydaje, że nadają się one na meble, a nie np. na śmietnik.

Fachowcom od psucia świata należałoby w końcu przypomnieć o tym, że Ziemia jest okrągła i że istnieje narzędzie, które się cyrklem zowie. Są też krzywki mogące skutecznie zakrzywiać nawet najbardziej prostackie pomysły.

Co zatem nakierowało ludzi na to kanciaste widzenie? Otóż wszystkim dzieciom wiadomo, że bocian, który je przynosi, dziób ma długi jak floret. Dzisiaj leżąc na świąt patrzy na taką szpilę i już się niewłaściwie kształtuje. Potem, w szkole, nie bardzo wyokrąglonymi literami zapisuje nie bardzo okrągłe zdania w zupełnie prostokątnym zeszyte. A kiedy na długiej przerwie zechce mu się jeść, biegnie do pobliskiego sklepu z prostokątnym szyldem i kwadratowymi napisami, by zjeść łoda zawartego pomiędzy kanciastymi waflami.

Kiedyś próbowano dialektycznie coś wymyślić; nazwano ten styl secesją. Wszystko stało się giętkie i płynne. Ale, na nieszczęście, w tym samym mniej więcej czasie pewien bocian przyniósł Pabla Picassa. Zdemolował on ten obły świat i ludzi superkanciastym kubizmem, za który do dziś płacimy wysoką cenę, przede wszystkim — potłuczonymi o kanty bokami, a także kształtem głów naszych dzieci po wyjściu spod nożyc niektórych fryzjerów.

LESZEK CZYZ
Rys. Andrzeja Podulki

Jak Bach fugami, tak on zagrał mową ojców i matek polskiej ziemi. Opanowany przez dajmona starożytnej sztuki, opętany magią świata Greków i Rzymian, nie zapomniał Wisły, Lublina, Warszawy. Szlifował rodzimy język na równi z Kasprowiczem, Staffem, Gałczyńskim, Iwaszkiewiczem.

Po wyzwoleniu Lublina, jeszcze w mundurze oficera „Kilińszczaków”, udałem się z prośbą o zgodę na kontynuowanie studiów na pierwszym otwartym uniwersytecie. Szef sztabu, pułkownik Parafonow, nie stawiał oporu. Wspaniałomyślnego serca dowódca Czwartej Dywizji Armii imienia Kościuszki, generał Kieniewicz, pobłogosławił mój zamiar. Tydzień na froncie, tydzień na ławie uniwersyteckiej — ot, i tak się układało życie.

Właśnie w Lublinie, na uniwersyteckiej ławie, spotkało mnie szczęście zetknięcia się z niezwykłą postacią. Nie jedyną zresztą. Rozumny rektor, profesor Antoni Słomkowski, oddał we władanie katedrę kilku powojennym rozbitek. Estetykę wykladał dobrze znany Henryk Elzenberg, prawo rzymskie — oświecający Stanisław Ossowski, literaturę polską — sławny Juliusz Kleiner, historię sztuki, emanującą zaraźliwym wprost entuzjazmem, Marian Morelowski.

Jan Parandowski został profesorem Uniwersytetu Lubelskiego w październiku 1945 r. Szła za nim jeszcze przedwojenna sława. Słuchacze hurmem ściągali na pierwsze wykłady.

Parandowski czuł się trochę obco w nieznany sobie środowisku. Wymędlony, wycieńczony trudami wojny, nie zachwycał błyskotliwością. Mówił powoli, głosem przyciszonym, czasami zająknął się nawet. Tępał pod byle pozorem nie przychodziły na wykłady, ale myślący studenci zostali. Chłód jego mowy elektryzował mózgi, podrażniał zainteresowanie. Zachwycał harmonią metafor, skojarzeń.

Kiedyś, studiując dzieła wielu gigantów literatury, przebrnąłem przez większość dzieł Johanna Wolfganga Goethego, ale ducha i podłoże jego twórczości zrozumiałem dopiero na wykładach Jana Parandowskiego. Na gody „Romantyzmu” wpadałem z miłością do zagadnień i z uwielbieniem dla mistrza słowa; na „Kulturę egejską” — z obowiązku studenta. Program Wydziału Historii Sztuki żądał i archeologii greckiej, ale ta jest dyscypliną z pogranicza prawie inżynierii. Byłem ciekaw, jak pisarz rozwiąże ten dyktando. Fachowcom okazał się niezrównanym! Z zainteresowaniem słuchaliśmy o oktopusach na znale-

ziskach ceramiki w Kamares, Wasiliki... Wiadomo, wyspiarzy od wielkó zachwycał kształt dziwnych istot morskich, a także ich barwa. Zastanowiły nas, lecz i bawiły resztki ruin w Fajstes, Malia. Ale co najważniejsze: Parandowski zapoznał nas z odkryciami Heinricha Schliemanna, z wykopaliskami Arthura Evansa, ze zbiorami starożytnych rzeźb lorda Thomasa Bruce’a Elgina.

dorobek: książki, referaty, eseje krytyczne, sprawozdania. To wspinał się gimnazjum wykształciło wielu cennych ludzi. Dobrze pamiętam Juliusza Kleinera, Kornela Makuśzyńskiego, marszałka Sejmu, Macieja Rataja, doktora medycyny Witolda Zawadowskiego, profesora Kazimierza Wątorskiego. Tadeusza Sędzimirza.

Rozmowa ta wyzwoliła we mnie jakieś poczucie pokrewieństwa z

NIEZWYKŁE SPOTKANIA

alchemik słowa

Zainteresowała nas wiadomość o grobie ojca bogów greckich, gromowładnego Zeusa. Zrodziła niepomahowaną chęć udania się na Kretę, dotarcia do góry Iyos i groty Eileithya. Cóż to byłoby za satysfakcja wleźć do niej i dotknąć palcami grobowca boga bogów! Marzyliśmy — my, chłopaki — o poganianiu wokół góry Idy za kozą Amalteją. Bo przecież w idalskiej grocie prabogini Rea ukryła swego beniaminka — najmłodszego syna — przed mężem dziecioczercą, przebrałym w Kronosem. A tam Amalteją własnym mlekiem wykarmiła małego Zeusa.

Potem rodziła się w nas żądza poznania legendarnych Myken, Sparty, Aten, Koryntu...

Czasami zatrzymywaliśmy profesora na przerwach albo po wykładzie. Mówił nam wtedy o trudach i barbarzyństwie wojny. Stracił dom, bibliotekę, zbiory, nawet rękopisy. Bolał najgoręcej nad spaloną, latami opracowywaną, historią Rzymu.

Wspominał przypadkiem o Lwowie. Aż mną podrzuciło.

— Tam zaczynałem studia — krzyknąłem na cały głos.

— Ja we Lwowie nie tylko chodziłem na uniwersytet — powiedział Parandowski — ale i ukończyłem gimnazjum; IV Gimnazjum im. Jana Długosza przy ulicy Nikorowicza 4.

— Doprawdy?! — poczułem się zaszczycony. — Ja także naiezę do „długoszaków”.

— Które lata? — zapytał.

— 1931, 1932, 1933, 1934.

— O, ja wtedy miałem już spory

wielkim profesorem. Zwierzyłem się, że moją piętą Achillesową była matematyka.

— Ja maturę zdałem — wyznał pisarz — tylko dlatego, że dobre serce podsunęło mi bryk. Zrzynałem spod rękawa.

— Historia się powtarza. To samo i mnie się przydarzyło — przyznałem się nieśmiało. — Ale z greki dostałem piątkę.

— Ja tak samo. Jeszcze i teraz z kolegami przy spotkaniu mówimy językiem Homerowych Greków.

Cóż, nie było wiele czasu na rozmowy. Parandowski zagaszczal lub przerzedzał zdania pisząc „Alchemię słowa”. Ja pracowałem nad magisterium, a potem — nad doktoratem. Miałem już za sobą liczne podróże po Polsce. Przemierzyłem dużo kilometrów europejskiej Rosji. Opowieści Parandowskiego wyzwały w człowieku nieodpartą chęć podróży. On w Grecji, na Sycylii i w Rzymie bywał jeszcze jako gimnazjalista. Po ślubie spędził z żoną miesiąc na Sycylii. Odwiedził Syrakuzy, Palermo, Agrigento, Taorminę.

Kiedy robiłem magisterium z historii sztuki, Parandowski pełnił funkcję dziekana. Do dziś pieczętuję podpisem. W latach pięćdziesiątych Parandowski przeniósł się do Warszawy. Nadal pisał i wydawał. Pozwalało mu utrzymać siebie i rodzinę. Zdobył sławę międzynarodową jeszcze przed wojną. W 1936 roku Olimpiada w Berlinie uhonorowała jego „Dysk olimpijski” brązowym medalem. W tym samym roku opu-

blikiwał „Niebo w płomieniach”. awanturę całego doświadczenia swojej młodości. Ale to wcale nie był początek drogi twórczej. Miał już w swym dorobku „Dwie wiosny” z 1927 roku, „Mitologię” oraz opowiadania „Eros na Olimpie” wydane w 1924, ponadto wiele szkiców, esejów, rozpraw.

Od roku 1933 przeszedł polskiemu PEN-Clubowi — oddziaływał na całość przekładowej literatury w Polsce. Wielokrotnie reprezentował piśmiennictwo nasze na międzynarodowych kongresach. Wojna zniszczyła wiele dokumentacji, spłonęły też jego antyczne zbiory i pamiątki.

Po roku 1945 zaczął wszystko od nowa. Pracował do późnych nocy — całymi dniami. Po wydanej w 1949 r. „Godzinie śródziemnomorskiej” wyszła „Alchemia słowa”, a w dwa lata później — „Szkice” i „Zegar słoneczny”. W 1956 ukazał się „Petrarka”, a w 1958 — „Podróże literackie”. Zachwylił też biografii Oskara Wilde’a — „Król życia”. Zyskał popularność i sławę. Nie przyszła ona z sensacyjnej utwórów. Parandowski ustawił żmudnie każde słowo w zdaniu i każde zdanie w rozdziale. Starannie planował każdy rozdział, a rozdziały wtapiał w całość kompozycji.

Ta staranność języka i stylu stawia go w rzędzie klasyków polskiej literatury. Był kontynuatorem polszczyzny Mickiewicza, Prusa, Żeromskiego, Lenartowicza. Ba, Parandowski to nie pisarz atrakcji; on myśli, uczy myślenia i smakowania słowa. Nie zna rozróżnienia ani fajerwerków. Zna potęgę słowa, dlatego pracuje nim oszczędnie. Wartościuje jego znaczenie, wyprowadza nieraz bardzo subtelne niuansy.

Ostatni raz widziałem go w roku 1957. Zaprosił mnie do siebie na kawę „po grecku”. Mówił wtedy o swym niedługim wyjeździe na międzynarodowe spotkanie PEN-Clubu w Tokio. Wyglądał bardzo mizernie. Jego słowa brzmiały cicho i trochę chrypliwie.

Podczas mojego pobytu w Stanach Zjednoczonych korespondowałem z nim czas jakiś. Potem urwało się wszystko. Parandowski zaniedbał poważnie. Mnie natomiast wypadło pracować na życie i robić oszczędności na przyszłe wyjazdy naukowo-badawcze.

Jesienią 1978 r. otrzymałem w Rzymie wiadomość o śmierci wielkiego pisarza. Pochowano go dnia 30 września w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Odszedł największym stylistą Polski powojennej.

(AL GOL)



Gazeta Łomżyńska z 22 stycznia 1922 r. opublikowała cztery statuty o powinnościach ekonomicznych mieszkańców Ziemi Łomżyńskiej.

„Na zasadzie punktu 8 art. 9 Tymczasowej Ordynacji powiatowej dla obszaru Polski b. zaboru rosyjskiego z dnia 4 lutego 1919 r. (Dz. Pr. Nr 13 poz. 141) oraz art. 8 Dekretu w przedmiocie skarbowości powiatowych związków komunalnych z dnia 7 lutego 1919 r. (Dziennik Pr. Nr 14 poz. 151), Sejmik uchwalił:

Posiadacze gruntów w powiecie łomżyńskim obowiązani wpłacić do kasy łomżyńskiego powiatowego związku komunalnego specjalną składkę gruntową, która średnio wynosi po 287 mk. z morgi. Jednakże z powodu istniejącej klasyfikacji ziemi byłoby niesprawiedliwym obciążać w jednakowej mierze wszystkie morgi. Wymiar dokonany w skali procentowej do podatku państwowego będzie wynosił mnożnik 83.

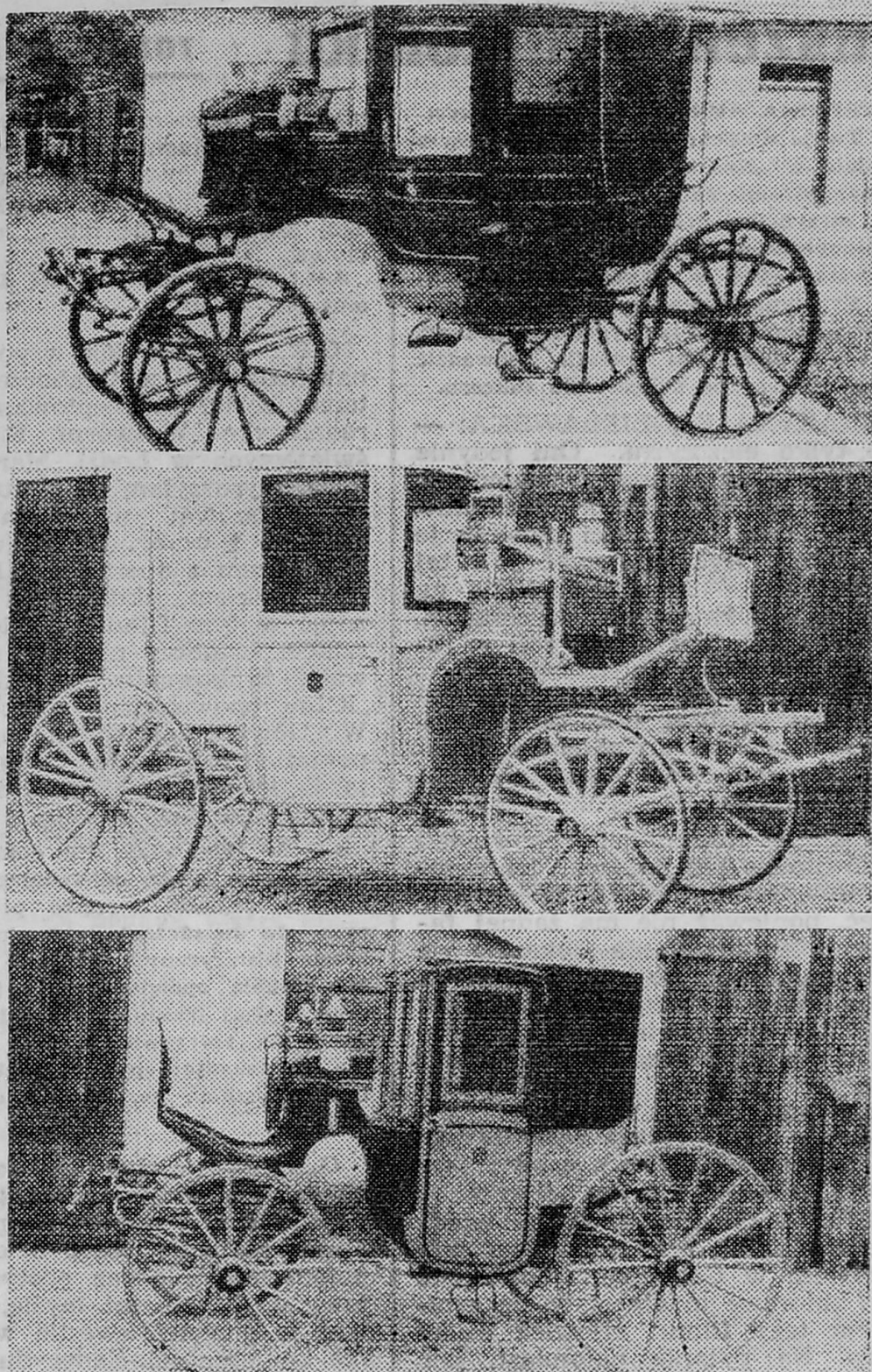
Wydział powiatowy dokona wymiaru w styczniu r.b. Pobór odbędzie się w dwóch terminach, 3/4 w lutym i 1/4 we wrześniu 1922 r.”

Równocześnie Sejmik uchwalił statut o podatku od zwierząt domowych; za konie powyżej 2,5 roku wynosił on 500 marek, za buhaje, woły, krowy i jałowki powyżej 6 miesięcy płacono 450 marek, za cielęta od 4 tygodni — 100 marek, za owce powyżej 6 miesięcy — również 100 marek, natomiast za kozy powyżej 6 miesięcy — aż 200 marek, bowiem ich właścicielami byli w większości Żydzi, nie należący przecież do biedoty. Świnie powyżej 4 miesięcy opodatkowano sumą 300 marek.

Oba powyższe statuty zostały opatrzone klauzulą: „Upoważnia się wydział powiatowy do odraczania rat podatkowych dla poszczególnych podatników, jeżeli będzie udowodniony zły stan majątkowy, zniszczenie po wojnie, spalenie lub inne nieszczeście. W wyjątkowych wypadkach wolno wydziałowi powiatowemu zupełnie zwolnić z podatku. Podatnikom przysługuje prawo w terminie miesięcznym po otrzymaniu nakazów płatniczych składać do

Druga Rzeczpospolita Polska liczyła wówczas nieco ponad trzy lata i borykała się z wieloma trudnościami, m.in. szaloną inflacją. Ciężar zagospodarowania kraju Sejm przekazał lokalnym samorządom — radom miejskim i sejmikom powiatowym. Trzeba było uruchomić szkoły, poprawić stan dróg, zbudować nową administrację, uruchomić pocztę, zadbać o ludzi, których dotknęła klęska wojny i kryzysu.

powozowy dobrobyt



wydziału powiatowego podania na młyn lub wadliwy wymiar składki”.

Specjalnymi należnościami od przedmiotów zbytku obciążył wydział zamożną część społeczeństwa. Posiadacze powozów płacili 2000, karet — 5000, fortepianów i pianin — 3000, gramofonów — 1000, bryczek resorowych — 500, rowerów — 300 marek.

Kolejny statut również nadwierał kieszeń zamożnych, bowiem dotyczył podatku od broni palnej.

„Każdy posiadacz broni palnej w obrębie powiatu łomżyńskiego płaci do kasy powiatowego związku komunalnego:

- 1) od każdego pozwolenia na rewolwer 500 mk.
- 2) od każdego pozwolenia na broń myśliwską 2000 mk.
- 3) od każdego pozwolenia na prawo polowania 2400 mk.

Powyższe stawki w chwili uchwalenia podatku stanowią 100% podatku państwowego. W razie zwiększenia stawek państwowych w ciągu roku budżetowego będą automatycznie się zwiększać i stawki na rzecz powiatowego związku komunalnego w tymże samym stosunku.

Przy opłacaniu podatku państwowego od broni palnej osoby zainteresowane obowiązane uścić i podatek komunalny”.

Dla opornych, uchylających się od powinności lub płacących nieterminowo, zostały ustalone odsetki za zwłokę, wynoszące 3—4 proc. za każdy miesiąc. Za pisemne wezwanie do zapłaty koszty egzekucyjne wynosiły 20—200 marek — w zależności od wysokości podatku.

Pamiętając, że metr żyta w owym czasie kosztował 900—1200 marek, a kilogram chleba — 20—30 marek, trzeba przyznać, że podatki nie były nadmiernie wysokie i obejmowały wszystkich obywateli, wyłączając ubogich i dotkniętych klęską żywiołową.

Opracował
LESZEK SŁAWIŃSKI

11
KONTAKTY
31 VII 83

Archiwum



świata z tego plugastwa! Jak pan myśli: zamknęliby budę?

Brunet wzruszył ramionami.

— Pan głupstwa plecie, zamiast myśleć poważnie. Sytuacja nader przykra.

Młodzieniec zdawał się nie słyszeć. Szedł za biegiem własnych myśli. — Zauję, że nie jestem taki głupi, żeby się strzelać. Zrobiłbym frajdę gazetom europejskim. Może i warto?

Brunet powstał.

— Chodźmy do domu. Za dużo pan mówi.

— A cóż będę robił? Tylko głos mi pozostał, no i kilka garniturów na zmianę. Siedź pan, trzeba się namysleć.

— Nad czym?

— Jak najłatwiej fajtnąć na tamten świat.

— E!

— No więc co?

— Niech pan zadesperuje do domu. Przyślą.

Twarz młodzieńca spoważniała w jednej chwili. Rzekał twardym tonem: — Za nic! Matki proszę nie będę. Wyrzekła się mnie, żem łajdak. Niech i tak będzie.

Zamyślił się smutno i zwiesił głowę.

Ordynat, odwrócony dotąd bokiem, spojrzał na niego i zadrżał. Błysk gwałtowny rozjaśnił twarz Waldemara.

Młodzieniec siedział nachmurzony z wydętymi wargami i z brwią silnie zmarszczoną. Jego oczy pociemniały jeszcze; były jak ze stali. Rzekał głuchym:

— Przebrałem całą swoją schedę; nie mi się od matki nie należy, a żebrać nie będę.

— Więc cóż pan zrobi?

Chłopak wyprostował się.

— Zostanę kelnerem.

— E!

— A pan tylko to umie. Chodźmy!

Brunet wstał ociężale. Ordynat podniósł się również. Twarz jego była prawie obojętna. Podsunął się do młodzieńca i dotknął jego ramienia.

— Kto pan? Czego pan sobie życzy? — zaperzył się chłopak, już zły.

— Poczekaj.

— Cóż to znaczy?! Jak pan śmie w ten sposób kogoś zaczepiać.

Ordynat się uśmiechnął.

— Trafił swój na swego. Tyś również w sposób niezbyt elegancki tu się zachowywał.

— Ty? Co to znaczy?

— Słuchaj! Jesteś Bohdan Michorowski z linii czerezyńskiej i... z Czerezyńna.

Młodzieniec cofnął się w tył. Zdumienie odebrało mu mowę.

Ordynat wziął go za rękę. Uśmiechnął się.

— Nie myśl, że jestem agentem śledczym i że cię aresztuję. Jestem tylko Waldemarem Michorowskim z Głębocza. Musiałeś o mnie słyszeć, bo pamiętać nie możesz.

— Ordynat?!

— Ten sam.

Chłopak rzucił mu się na szyję i ucałował. Po czym spojrzał na osłupiałego towarzysza wołając:

— No, już możesz pan wyjąć kulkę z mego rewolweru. Daję dymisję pani śmierci. (cdn.)

Ordynat Helena Mniszek Michorowski

11

W kilka godzin potem ordynat był już w Monte-Carlo. Siedział na ławce w parku na wprost kasyna i uważnie przepatrywał spacerujących.

Nieznajomy młodzieniec intrzygował go już od kilku dni. Tylko że w Nicci ginał mu ciagle z oczu.

Michorowski zamyślił się.

Patrzył na niezliczoną mozaikę ludzkich twarzy, przesuających się obok niego, na gorączkowe ruchy tych ludzi, na wyraz odbity na każdym odrębnie, jak własna pieczęć. Nie dziwił się, co ich denerwuje. Wiedział, że żądza złota. Posiada ją każdy — w mniejszym lub większym stopniu. U jednych ginie ona pod wpływem dostatku i gdy nie jest pobudzana; u innych jest zduszona silną wolą; jeszcze u innych planuje ciagle i prowadzi do zbrodni. Ten, kto zupełnie w zanadru jej nie posiada, nie ceni zarazem i życia. Abnegacja dla złota idzie w parze z apatią życiową lub z tak krańcowym idealizmem, że z życiem realnym również nie ma nic wspólnego. Zresztą, pomiędzy poszanowaniem grosza a żądzą złota jest cała przepaść. Najwięksi realisci, dbający o pieniądź, nie uczuwają tej zwierzęcej chciwości jego, chyba że podrażni ich widok gór zła na stołach kasyna. Lecz silnych natur dreszcz ten nie zgubi; może chwilowo nimi wstrząsnąć. A często najgłębsi idealisci, którzy w pospolitych warunkach z pogardą odsuwają od siebie pieniądze i w istocie nie przywiązują do nich żadnej wagi, wpadają w matnię domu gry.

Bo ta jaskinia zdolna jest wydobyć żądzę złota z najtańszej skrytki ludzkiej istoty, tym bardziej jeżeli trafi na naturę zapalną, gorącą. Umie dokazać tej sztuki, jak sprowadzenie zamglonych ideał oczu poety z obłoków na sukno rulety.

Ta paszcza o złotym podniebieniu pożera tysiące bezwartościowych, ale i cennych jaźni, ciągnie je na swój lep i przetrawia. Wyrzuca z siebie trupy moralne i fizyczne i chłonie, chłonie bez odpoczynku. Nienasycona, groźna!

Nagle Michorowski doznał jakby rzutu wewnętrznego, aby wyrwać stąd nieznajomego młodzieńca. On już brnie w tej okrutnej paszczyce. Wyszarpnąć go z jej zębów póki czas.

Nagły rzut wewnętrzny stał się silnym pragnieniem. Michorowski nie rozumiał tego uczuciaskierowanego na obcego człowieka, lecz i nie analizował go.

Chciał ratować ginącego, bo... chciał. Dlaczego? Nie zdawał sobie sprawy. Sam niegdyś grał w tym potwornym gmachu, ale on miał za wiele milionów, więc mu złoto nie imponowało. Jednak wciągał się, nie wskutek chęci wygrania. Nerwy tu działały. Przerwał, bo poczuł w ustach gorzki smak wstrętu. Prawie każdy odczuje ten smak, ale często za późno. Nieznajomy jest właśnie w fazie najniebezpieczniejszej: gorzej.

Michorowski, widząc go, nie pojmował, co go tak podnieca. Młodzieniec czynił na nim wrażenie podejrzanego, trochę narwańca, trochę pijanego jakimś zatrutym alkoholem, któregoś z życiowych nędz.

Nie wiedział jeszcze wówczas, że on gra.



„Reżyser, który w scenopisie rozbija nam sytuacje na poszczególne ujęcia — napisał Andre Bazin — wykonuje za nas pracę fragmentaryzowania rzeczywistości, z którą mamy do czynienia w życiu codziennym. Nieświadomie zgadzamy się z jego analizą, gdyż jest ona zgodna z prawami funkcjonowania uwagi. Ale jego analiza pozabawia nas innego przywileju [...]: wolności wyboru (przynajmniej potencjalnej) naszego własnego, odmiennego systemu fragmentaryzowania”.

kuszenie lajkonika

rozmowa druga

STEFANIA HENCZEŁOWA: — Wszystkie Twoje dotychczasowe filmy, o czym pisałam w „Kontaktach” nr 7/82, zostały nagrodzone. Za najnowszy film, „Góra”, otrzymałaś Srebrnego Lajkonika na Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie. Reżyserka, Krystyna Nowacka powiedziała niedawno dziennikarzowi tygodnika „Film”, że tylko mężczyźni potrafili prowadzić swoje kamery od sukcesu do sukcesu.

GRAŻYNA KĘDZIELAWSKA: — Nie tylko mężczyźni. Oni jedynie zdobywają je innymi metodami. Nasze rozumienie życia jest inne. Myślę, że w twórczości musimy je świadomie wykorzystywać i z tej odmienności, zasadzającej się na rodzaju doświadczeń życiowych, które wynikają z naszej roli w rodzinie, uczynić metodę.

S.H.: — Widocznie nadto starannie namalowałaś światem swój obraz filmowy, skoro nigdzie nie znalazłam recenzji z Festiwalu, która by się przy nim dłużej zatrzymała.

G.K.: — Recenzenci opowiadali treść filmów lub podawali ich przesłanie. „Góry” nie da się opowiedzieć, ponieważ nie ma żadnej fabuły, więc przesłanie okazało się wieloznaczne. Co nie znaczy, że samo dzieło jest doskonałe; nawet takie być nie powinno, bowiem doskonałość jedynie zachwycza, a obraz filmowy powinien poruszać, wzbudzać emocje.

S.H.: — Przed rokiem zapowiedziałas ten film jako „Jarmark uczuć”; czy tamten tytuł oddawał ideę „Góry”?

G.K.: — Częściowo. Żyłam wtedy pod urokiem prawosławnego sanktuarium w Grabarce. Zanoszone tam zbiorowe modły stały się symbolem tezy filmu: człowiek szuka Boga. Na pytanie natomiast, jak, gdzie i do czego go potrzebuje, odpowiadają moi indywidualni boha-

terowie: dziewczyna, matka i biskup. Rzecz jasna, rozumienie i potrzeba Stwórcy istnienia w każdym z nich jest inna, bo zupełnie inaczej kształtuje się ich sytuacja życiowa.

S.H.: — Jak zabierałaś się do tego filmu?

G.K.: — Idea, jak wspominałam, narodziła się w Grabarce. Kiedy temat został zaakceptowany przez redaktorkę Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi, Marię Pakulową, wyruszyłam na dokumentację scenariuszową: ustalałam miejsca, sytuacje i osoby. Scenopis zrobiliśmy razem z operatorem Krzysztofem Ptakiem, który jest autorem zdjęć w tym filmie. O jego warstwie świadczy nagroda na Festiwalu krakowskim za zdjęcia w „Kilku opowieściach o człowieku”. W „Górze” wprowadziłam zdjęcia pokłatkowe i puste (teoretycznie) jazdy, które dają efekt symbolicznego uogólnienia.

S.H.: — Wprawdzie film dokumentalny ma dłuższy żywot od fabularnego, jest bowiem zapisem często przywoływanym do świadectwa o konkretnym okresie historycznym, jednak współczesni holubi opowiadaczy, a faktograficzne zapiski traktują podejrzliwie, jako donos na rzeczywistość lub jej apologię. A ponadto: chyba nie chcesz zdobyć wszystkich nagród w krótkim metrażu?

G.K.: — Nie chcę, bo przecież nie chodzi o nagrody, choć to jedyne potwierdzenie racji i rangi filmu. Teraz realizuję rzecz o emigracji, potem będzie obraz poetycko-baletowy. O fabule też myślę, ale metraż to przecież kwestia wyboru, a nie konieczności. Zdecydują o nim treści, które zapragnę przekazać P.T. Publiczności.



— Myślał jucha, że zblednę!

Zaczął się śmiać trochę nienaturalnie, lecz odważnie, i mówił dalej, wysuwając się z koła grających.

— Niby nic dziwnego, że przegrałem; jestem przecie szczęśliwy w miłości. Ale swoją drogą fortuna dała mi mata. A tom się splukał! — pisał odmiennym, przeciagłym głosem.

Podeszli obaj blisko w stronę ordynata. Chłopak, rzucił się na sofę. Brunet usiadł przy nim z miną wielce nieszczęśliwą. Chwilę milczeli. Ordynat udawał, że patrzy na grających. Coraz więcej zajmował go, niepokoił i bawił ten młodzieniec. On tymczasem kręcił się na sofie nerwowo, zdradzając chęć do gwizdania. Raz nawet jakiś niesforny ton wyleciał z jego ust, lecz młodzieniec się w porę zmytygował. Po czym zaczął mówić swobodnie:

— Niech pan jeszcze nie ma pogrzebowej miny, jeszcze żyję. Widzi pan: to się nazywa los braci z rogi, jak byka, gdy bodzie. No i cóż? Nie mam na zapłacenie hotelu, nie mam na podróż... ba! nawet nie mam na obiad, bo już same długie. Ale rewolwer mam w kieszeni; gdybym chciał — trrach! i po wszystkim.

— Co też pan mówi! Ale jakże można? Co znowu! — oburzył się przerażony brunet.

— Cha! cha! Paradny Pan jest! Ja bym się miał dla głupiej ruletki, która mnie okradła, strzelać! Jeszcze czego! Ani myślę! Niech się nie cieszy nadzieją!

Zasłuchał się i znowu mówił ku stałemu przerażeniu bruneta, który miał taką minę, jakby nie wiedział, czego się martwić: czy że młodzieniec nie chce się strzelać, czy że może się zastrzelić.

— Myśli pan, że ja palnęłbym sobie w łeb w parku? — mówił chłopak. — Ani trochę! Tu, w tej sali, przy samej rulecie. Co? To byłby efekt szalony! Z parku zmietliby mnie stróż jak śmieci; nikt by nawet nie widział. Ale tu! Wszystkie lady i missy by pomdlały. Moja krew padłaby na ruletę, splamiała złoto. Ehe, może bym się przyczynił do oczyszczenia

Ordynat drgnął na swej ławce. Usłyszał w bocznej alei młody głos i był pewny, że należy do nieznanego.

Ale to głos znajomy? Co to jest?

Spoza klombów wyszedł młodzieniec w białym flanelowym kostiumie, prowadząc rozmowę z jakimś ospałym brunetem.

— Upewniam pana — mówił po polsku — że to ostatnia stawka. Jeśli przegram, diabeł się pocieszy.

— Bo przestałbyś pan z tą ruletą! — rzekł brunet tonem upominającym. Młody człowiek roześmiał się.

— Kapitalny! To tak, jakbyś pan do tonącego powiedział: „prześń do licha z tą wodą!” Cha! cha!

Brunet znowu coś mówił, czego już ordynat nie słyszał, bo znikł w drzwiach Kasyna.

Zerwał się i poszedł za nim.

Co to za głos? Co to za głos — myślał, trąc czoło.

XVII

W sali gry usiadł na bocznej kanapie i poszukał wzrokiem wśród tłumu otaczającego stoły. Łatwo odnalazł młodzieńca, który już wmieszał się w liczbę grających i cały był pochłonięty swoją stawką. Brunet stał za nim.

Gra trwała długo. Charakterystyczne, suche głosy krupierów odzywały się złowieszczo jak puszczyki. Brzęk złota, śpieszne oddechy graczy, często wykrzyk bolesny, jakieś westchnienie — odrzynały się plastycznie od ogólnego, lekkiego szumu dużej masy ludzi.

Ordynat widząc tylko plecy młodzieńca badał twarze innych. Zapłonione policzki kobiet, ich oczy nalane piękną chciwością, włos rozwiany, często zbakierowany kapeluszy, były wyborną ilustracją stanu wewnętrznego tych istot. Gra brała ich w siebie z niepokonaną mocą. Poza tą ruletą świat cały zdawał się dla nich nie istnieć. Ale Michorowski, zaintrygowany jak wyglądał ten nieznanego młodzieńca, poszedł na drugą stronę sali, skąd mógł ją dobrze obserwować i tam zajął miejsce. Spojrzał i zamiast badać wyraz, wpatrzył się w rysy młodego chłopca.

— Kto to jest? — szepnął do siebie.

Jakieś odległe wspomnienie wionęło nagle i krótko. Ta twarz, te oczy. Tak! Tak! Coś bardzo znajomego.

Chłopak trzymał utkwniony wzrok na stole, ale błędził po nim. Na gromady złota patrzył chwilowo z wyrazem, jakby mówił: „kpię z ciebie, ale będziesz moje”. Na krupierów spoglądał z ironią, na publikę nie zwracał żadnej uwagi. Miał minę, jakby gra szła tylko dla niego.

Ciemnopolne oczy błyszczały mu nie żądzą, lecz ciekawością. Usta pełne, świeże, pod ledwo sypanym się wąsikiem, krzywił nerwowo na różne sposoby: składał wargi jak do gwizdania, pociągał je pod nos, rozsuwał ukazując białe zęby. Czasem uśmiech łobuzerski mignął na szczupłej, smagłej twarzy, czasem szybki jak błysk przestraszył. Wówczas nagłym ruchem dotykał dłonią głowy, porosłej lśniącem, ciemnoblond włosom, zaczesanym w górę. Brwi miał ostro zarysowane i dość skupione.

Ordynat na tych jego brwiach i ustach zatrzymał najdłużej badawcze żrenice. Ale i w ruchach, i w głosie, i w całej postaci było coś, co Michorowskiego wprost zdumiewało.

Nareszcie młodzieniec grę skończył.

Przegrał.

Ordynat nie spuszczał z niego oczu. Doznał dziwnej satysfakcji, zobaczywszy, że chłopak po momentalnym, niewidocznym prawie cieniu na twarzy uklonił się z wielkim wdziękiem krupierowi i cofając się palnął na cały głos do bruneta po polsku:



k o k o s y

13
KONTAKTY
31 VII 83

Orzech kokosowy zbliżony jest do głowy ludzkiej, zawiera bowiem podobieństwo do ust i oczu. Wnętrze zielonego orzecha przypomina mózg. Na powierzchni owocu znajdują się liczne włosy jak na głowie. Owoc ten pokrzepia ciało, tuczy i wzmacnia czerwoność oblicza. Co się zaś dotyczy jego oddziaływania na rozkosze miłosne, to czyni prawdziwe cuda. Tak o kokosach pisał na początku XIV wieku arabski podróżnik Ibn Bat-tuta.

Owoc palmy kokosowej jest pestkowcem jednonasiennym o przedziwnej budowie. Pod skórą znajduje się gruba, włóknista owocnia, która szczelnie okrywa orzech o twardej jak kamień łupinie, pod nią biała warstwa jądra nasiennego, zwana kopra. Wnętrze orzecha wypełnia opalizująca ciecz o przyjemnym słodkim smaku — mleko kokosowe.

Niemal wszystkie części palmy kokosowej mają zastosowanie praktyczne. Najważniejsza jest kopra, zawiera bowiem do 60 proc. cennego oleju służącego do wyrobu margaryny oraz czekolady. Mleko kokosowe to doskonały, odżywczy napój. Palma kokosowa dostarcza soku, z którego w krajach Dalekiego Wschodu otrzymuje się cukier palmowy, wino i arak. Młode liście są

spożywane jako jarzyna — tzw. palmowa kapusta. Z włókien wyplata się maty, dywany, chodniki i kapelusze, z twardych skorup powstają serwisy do kaw, herbaty i inne ozdobne naczynia. Wielkimi liśćmi palmowymi kryje się dachy chat. Pnie znajdują zastosowanie jako materiał budowlany.

Zbiór owoców kokosowych bywa niebezpieczny. Na szczycie palm można trafić na gniazda mrówek, pszczoł lub jadowite węże. Na Filipinach zbieraczami orzechów są specjalnie tresowane małpy.

Wielkim amatorem orzechów jest krab kokosowy. Swymi silnymi szczypcami potrafi rozłupać twar-dą skorupę, ale i odciąć palce u nogi. Wiedzą o tym tubylcy z Wyspy Wielkanocnej i nocą nigdy nie wchodzi na palmy. Złodzieje kokosów, jak nazywają kraby, są również przysmakiem miejscowej ludności. Ale świeżo złapanych nikt nie odważy się zjeść, bowiem wcześniej mogły pożywiać się trującymi owocami.

Czasem po rozbiciu orzecha można znaleźć tzw. perłę kokosową. W dawnych czasach perlom tym, do złudzenia przypominającym prawdziwe, przypisywano czarodziejskie właściwości.

WSZYSTKO O WINIE doprawianie moszczu



Gotowe wino musi mieć odpowiednią kwasowość i zawartość alkoholu. Kwasowość powinna wynosić 0,6—0,8 proc. tzn. 6—8 g kwasu na 1 l wina, zaś w winach mocnych i słodkich może być większa. Kwasowość wielu owo-

ców przekracza podane wyżej granice i nieraz potrzeba ją zmniejszyć. Alkohol powstaje w winie z cukru wskutek fermentacji alkoholowej. Średnio ze 100 g cukru powstaje 46—48 g alkoholu. W praktyce winiarskiej wydajność alkoholu wynosi ok. 60 proc. zawartości cukru w moszczu.

Nasze owoce zawierają 4—10 proc. cukru. Można z nich otrzymać wino słabe i nietrwałe o zawartości 2—6 proc. alkoholu. Moszcz powinien być więc odpowiednio doprawiony, taki właśnie nazywa się nastawem.

Kwasowość nastawu zmniejsza się przez dodanie wody, a zawartość cukru zwiększa przez dosłodzenie. W warunkach domowych najczęściej posługujemy się gotowymi przepisami. Doświadczenie i praktyka wykazały, że jednorazowe dodanie dużej ilości cukru wpływa hamująco na przebieg fermentacji alkoholowej. Najlepiej uczynić to w dwóch ratach. Pierwszą, nieco większą, rozpuszcza się w nastawie przed dodaniem matki drożdżowej. Drugą porcję dodajemy, gdy burzliwa fermentacja zacznie słabnąć, rozpuszczoną w odlanej porcji fermentującego nastawu.

Do win mocnych i słodkich najlepiej dodawać cukier w trzech ratach. Ostatnią, najmniejszą porcję dodaje się przy pierwszym ściąganiu. Porcjowanie cukru powoduje wytwarzanie się większej ilości alkoholu, a dosładzanie wina po fermentacji można dostosować do potrzeb smakowych.

ośmiokilogramowy kwiatek

Wpuszczy tropikalnej Borneo i Sumatry rośnie rafleja, roślinina, która nie ma liści ani łodygi, tylko jeden olbrzymi kwiat o średnicy do jednego metra i wadze ok. ośmiu kilogramów. Jego odkrywcą, angielski podróżnik, Arnold pisał: „W Pulo Lebbas nad rzeką Manną trafiałem przypadkowo na największy chyba cud natury. Od-daliłem się właśnie nieco od grupy, gdy nagle przybiegł jeden z moich malajskich służących i z wyrazem niezmiernego zdumienia zawołał: panie, chodź szybko za mną, kwiat olbrzymi, piękny, nadzwyczajny! Pośpieszyłem za nim i wówczas w odległości około 100 metrów w głębi dżungli zobaczyłem ogromny kwiat znajdujący się wprost na ziemi. Mówiąc szczerze, gdybym był sam, bez świadków, nie odważyłbym się podać wymiarów tego kwiatu, tak bardzo odbiegał on wielkością od kwiatów, jakie widziałem lub o jakich słyszałem dotychczas. Ale na szczęście byli wraz ze mną Sir Stamford, pani Raffles oraz pan Palsgrave, czcigodny mieszkaniec tamtejszy, i choć równie jak ja zdumieni tym, co ujrzeli

mogli przecież zaświadczyć, że mówię prawdę. Kwiat miał dokładnie jard średnicy (91 cm) i to było najbardziej zdumiewające”.

Rafleja jest pasożytem, który atakuje leżące na ziemi korzenie liany. Lepkie nasiona kiełkują na splekanej korze. Wnikając nitkowatymi wyrostkami pasożyt wrasta w tkankę rośliny-żywiciela i tuż po wykiełkowaniu wytwarza małe pączki kwiatowe. Początkowo jest on niemal niewidoczny na zewnątrz, powiększa się jednak i po około 9 miesiącach na powierzchni korzenia mającego zaledwie 1 cm grubości powstaje ogromny pak kwiatowy. Po jego otwarciu ukazuje się potężny kwiat o pięciu mięsistych płatkach, których grubość dochodzić może do 2 centymetrów. Są one czerwone, a ich powierzchnię pokrywają żółte plamy, co upodabnia je do psującego się mięsa. Kwiat wydziela intensywny zapach padliny.

Rafleja rośnie często na ścieżkach, którymi wędrują słonie. Niektórzy twierdzą, że słonie roznoszą owocu-jące rośliny i przenoszą przylepione do nóg nasiona.

warto wiedzieć

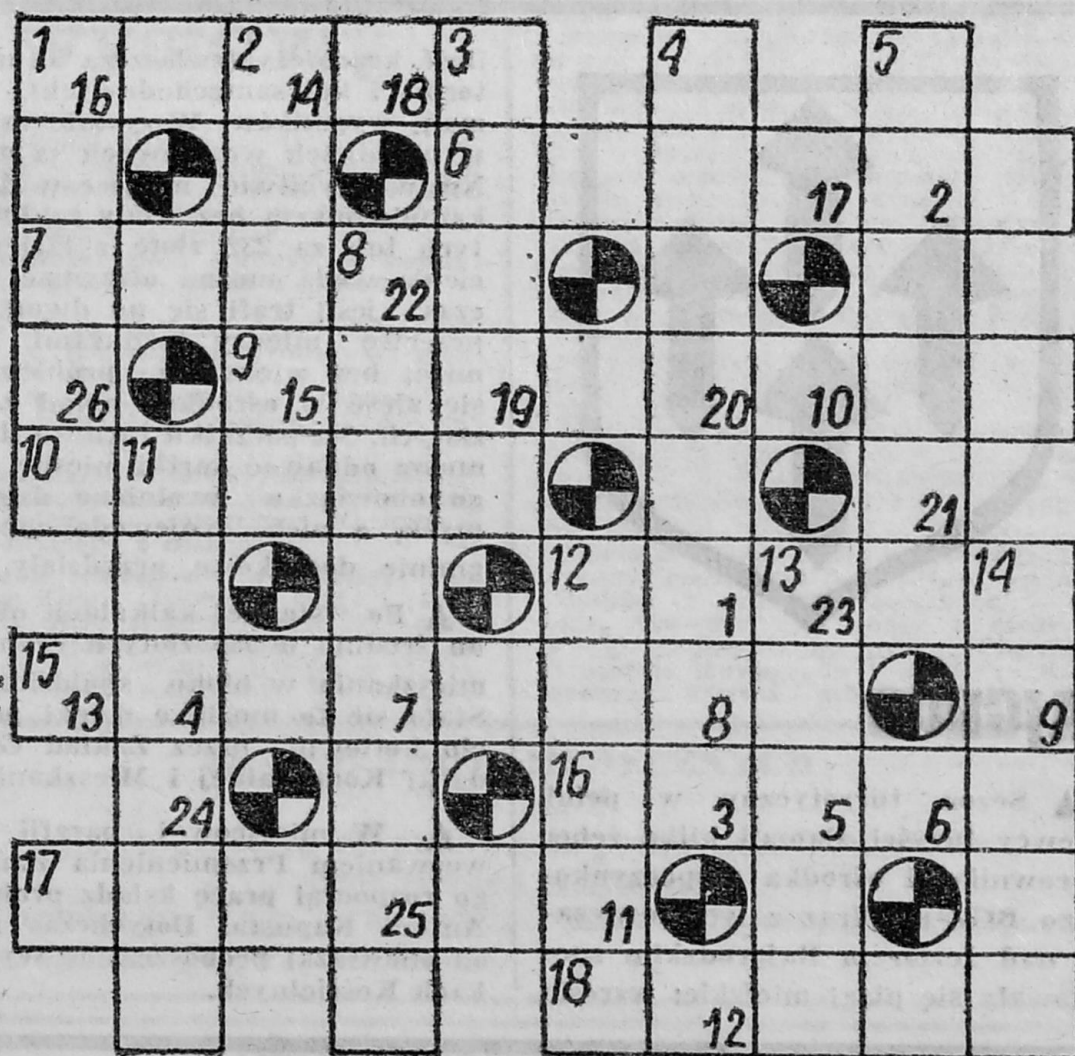
Najdłuższy most wiszący na świecie zbudowali Anglicy na rze-sie Humber; ma 1411 metrów. Jego koszt był również rekordowy: 88 milionów funtów szterlingów.

Najczęściej gubią sztuczne szczę-ki szwedzcy pensjonariusze domu starców i renciści. Ministerstwo Zdrowia postanowiło wprowadzić numerację protez, aby łatwiej było znaleźć właścicieli, bowiem co roku koszt ich wymiany obciąża skarb

państwa sumą przekraczającą 4 miliony koron.

Najpłodniejsza kobieta świata żyje w Chile; do 57 roku życia urodziła 44 dzieci.

Niezwykle nazwali Rumuni niektóre ulice w Bukareszcie: „Ulica nocnego azylu”, „Ulica starszych pa-nów”, „Ulica noży”, „Aleja żab”, „Droga analfabetów”.



Po rozwiązaniu krzyżówki litery z krótkich ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione w kolejności od 1 do 26, utworzą myśl B. Shawa.

POZIOMO: 1) pierwszy człon w skrócie USC, 6) Indianin jednego z plemion Ameryki Pn., 7) wschodni obraz sakralny, 9) określony w procentach udział autora w dochodzie z wydania książki, 10) trwoga, niebezpieczeństwo, 12) szkolne pomieszczenie, 15) układ kostny człowieka, 16) szkolna nota, 17) szafran, 18) przez nią Charon przewoził dusze zmarłych.

PIONOWO: 1) siła z jaką holownik może ciągnąć doczepiony obiekt pływający, 2) metal szlachetny, 3) rzymska bogini lasów i zwierząt, 4) ofiara kąpieli wodnej, 5) w mitologii greckiej bóg dróg, kupców i złodziei, 8) w parze z imieniem, 11) dawna nazwa zakładu fryzjerskiego, 12) filmowe wcielenie St. Mikulskiego, 13) grecka metropolia, 14) bohater „Iliady”, wyróżniał stado baranów, biorąc ich za Greków.

(HCL)

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali do redakcji prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy nagrody książkowe.

stragan pod trzynastką



wieści grodzkie



SZCZUCZYN

▲ Mydelka hotelowe produkowane w miejscowej Spółdzielni Inwalidów znane są w świecie. Do końca ubiegłego roku były eksportowane do RFN-u, Szwecji, na Malte. Szczuczynskimi mydelkami myją się podróżni w samolotach PLL LOT,

w wagonach „Warsu”, można znaleźć je w sklepach Ars Polony i PHZ „Baltona”. Oprócz mydełek hotelowych Spółdzielnia produkuje mydła toaletowe, pastę bhp-owską, mydło do golenia, płyn do kąpiel, dezodoranty we. Mimo że producent otrzymał importowane komponenty zapachowe — zapotrzebowanie na wyroby zmniejsza się. Coraz więcej odbiorców krajowych przysyła telexy z prośbą o wstrzymanie dostaw. Teksty takie nadeszły z Wejherowa, Bydgoszczy, Augustowa. Wygasły i nie zostały odnowione kontakty z odbiorcami zagranicznymi. Z braku nabywców trzeba było zaprzestać produkcji np. płatków do prania. Wyjściem z sytuacji byłoby utrzymanie konkurencyjnych cen i poszukiwanie nowych rynków zbytu. Czasem, jak się okazuje, są one bardzo blisko, np. w br. łomżyński WZSR nie kupił w Spółdzielni ani dekagrama jakiegokolwiek wyrobu.

GRAJEWO

▲ Niepostrzeżenie miasto wzbożyciło się o nowy obiekt. Jest to hotel, zbudowany kosztem 200 milionów złotych przez Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego. W hotelu, na pięciu kondygnacjach, przewidziano 336 miejsc w pokojach dwu- i trzyosobowych. Mimo że trwają jeszcze prace wykończeniowe, na czwartym piętrze zamieszkały już 52 pielęgniarzy. Drugie i trzecie piętro zajmują junacy z OHP. W najbliższym czasie zostanie zakwaterowanych jeszcze 30 dziewcząt, a w listopadzie — Oddział Obrony Cywilnej. Na pierwszym piętrze wydzielono cztery mieszkania rotacyjne i 38 miejsc w pokojach na hotel miejski, który — bez oficjalnego otwarcia —



zaczął już działać. Zatrzymują się w nim kierowcy ciężarówek. Wstępnie skalkulowana cena za łóżko w dwuosobowym pokoju wynosi 340 złotych. Na parterze budynku mieszczą się: kuchnia, świetlica i kawiarnia.



RAJGRÓD

▲ Sezon turystyczny w pełni. Kierownicy złamali kilka zeber kierownikowi ośrodka wypoczynkowego BGŻ-u. Wraz z wczasowiczami nad Jeziorem Rajgrodzkim spotały się plagi miejskie: wzrosła

ilość kradzieży (zwłaszcza akumulatorów i kół samochodowych), włamań, wypadków. Wszystkie miejsca w ośrodkach wczasowych są zajęte. Np. w „Rybitwie” miejsce w domku kempingowym bez wody za 100 złotych lub za 232 złote z łazienką i ciepłą wodą można otrzymać wówczas, jeśli trafi się na dwudniową przerwę między turnusami. Natomiast bez większego problemu da się zjeść w ośrodku obiad za 120 złotych. Na początku turnusu dorośli muszą oddawać kartki mięsne. Z tego obowiązku zwolniono dzieci; z myślą o nich wojewoda zapewnił gminie dodatkowe przydziały.

▲ Po wstępnej kalkulacji obniżono średnio o 550 złotych czynsz za mieszkania w bloku spółdzielczym. Stało się to możliwe dzięki przejęciu kotłowni przez Zakład Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej.

▲ W miejscowej parafii pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego rozpoczął pracę ksiądz proboszcz Antoni Kapusta. Dotychczas pełnił on obowiązki proboszcza w Wyszonkach Kościelnych.

CIECHANOWIEC

▲ Pojawiła się nowa branża produkcyjna w mieście. W budynku częściowo opuszczonym przez „Apis” rozgościł się elektronicy. Wytwarzają Usługowa Spółdzielnia Pracy, w porozumieniu z Warszawskimi Zakładami Ceramiki Radiowej, wytwarza elementy do urządzeń radiowych. Codziennie opuszcza zakład np. 16 000 kondensatorów. Po opuszczeniu piętra przez pracowników „Apisu” planowane jest wprowadzenie produkcji zapalniczek do kuchenek gazowych.

Łomżyńskie nie mało szczęścia do inwestycji. Gdy w latach siedemdziesiątych prace budowlane powstawały jak grzyby po deszczu, na tych terenach (ówczesnego województwa białostockiego) działo się niezbyt wiele. Trudno było wówczas uważać ten stan rzeczy za pomyślny. Wszyscy oczekiwali na wielkie „żniwa inwestycyjne”, które zapewnić miały obfitość mieszkańcom i dostatek całemu krajowi. Nadzieja szczęścia była blisko. Niestety, szczęście ominęło

GOSPODARKA OD KUCHNI

sztuka wyboru

bardzo wielu, a nadzieja przekształciła się w gniozący ciężar. Stanowi to blisko półtora tysiąca rozgrybanych w całej Polsce budowli, z którymi nie bardzo wiadomo, co się stanie.

Wszystkie wstrzymane decyzje rządu, ministrów i wojewodów, a także inwestorów inwestycje pochłonięte blisko 500 miliardów złotych. Jest to jednak zarazem niecałe 30 proc. nakładów, jakie należałoby ponieść, aby je zakończyć. Nakładów takich na pewno nie będzie. W inwestycje w ciągu najbliższych trzech lat możemy wydać średnio bilion złotych rocznie. Z tej sumy po 30 proc. pochłonie budownictwo mieszkaniowe i gospodarka żywnościowa, a następnych kilkanaście kompleksów energetyczno-paliwowych. Ile zostaje? Niewiele. Tymczasem prawie 70 proc. wstrzymanych inwestycji dotyczy produkcji przemysłowej. Drugim, także ważnym powodem, by nakładów (których i tak nie ma) nie przeznaczać na kończenie wszystkich inwestycji jest fakt, że wiele z nich nie będzie potrzebnych. Zakładamy bowiem zmianę struktury produkcji, chcemy rozwijać produkcję na rynek, a nie na potrzeby kolejnych inwestycji, nie budujemy drugiej Polski i musimy liczyć na własne siły, a nie na pożyczki od kapitalistów.

Te półtora tysiąca budowli jednak

jest. Ile i które z nich należyoby spisać na straty? Z rachunków wypadają, że może się „ostać” jakieś 20—30 proc. Ten fakt wszyscy zainteresowani przyjmują względnie spokojnie. Gdy jednak przychodzi do konkretnych decyzji, które mają iść na straconie, nikt nie uważa, że dotyczy to właśnie jego. Zgodnie z odpowiednim zarządzeniem premiera wkrótce podjęte zostaną decyzje ostateczne. „Sito” kwalifikacyjne jest bardzo gęste. Kryteria bowiem będą następujące: celowość wznoszenia, możliwość zapewnienia eksploatacji po ukończeniu, w tym zwłaszcza z punktu widzenia zapotrzebowania materiałowo-surobowego (import!) i ręk do pracy, wysokość już poniesionych nakładów oraz ocena techniczno-materiałowych szans zakończenia, a wreszcie — posiadanie przez inwestora odpowiednich środków finansowych. Jeżeli inwestycje nie spełnią tych warunków, zostaną odpłatnie, a w sytuacjach koniecznych i bezpłatnie przekazane innym sponsorom posiadającym warunki ich kontynuowania, a w skrajnych przypadkach mogą być podjęte decyzje o całkowitej likwidacji budowli i przekazaniu pozostałości po nich terenów miejscowym władzom.

Jak na razie ta trudna prawda nie może znaleźć zrozumienia. Przeważająca liczba inwestorów jest przekonana, że ich obiekty powinny i muszą być budowane do końca. Dla poparcia swoich racji szukają wszelkich możliwych sojuszników i argumentów. Rzeczywiście, rozpatrując każdą inwestycję z osobna można by udowodnić, że się ona „broni”. Cóż jednak, rachunek końcowy w żaden sposób nie chce się zgodzić. Mówi się, że ekonomia to sztuka dokonywania wyborów. Bardzo trudna sztuka.

MAREK ROSIŃSKI

horoskop

dla szefów i podwładnych

Cheesz uniknąć zatargu z szefem? Pragniesz być lubiany przez podwładnych? Wystarczy sprawdzić w kadrach daty urodzenia interesujących cię osób i uważnie studiować zalecenia niniejszego horoskopu. Uwzględni jednak, że „czyste przypadki” nie zdarzają się zbyt często. Czasem przyjmują pewne cechy znaków sąsiadujących.

SZEFA RAK (21.06.—22.07.)

Jest typem wrażliwym, delikatnym, wręczym, o ujmującym sposobie bycia. Dlatego należy być wobec niego ułożonym i opanowanym. Gorąco polecamy słownictwo salonne; schludne i estetyczne odzienie. Ręce w kieszeniach, niedbala poza w gabinecie tego szefa to zbyt wielkie ryzyko. Pozorna łagodność dyrektora Raka nie może nas mylić — nie jest on szefem słabym i niedołężnym, przeciwnie, to wspaniały, samodzielny organizator. Najstarszy Krupp, Rockefeller i wielu innych finansowych potentatów ze znaku Raka doszło z niczego do fortun. Przemysłowa organizacja pracy, właściwy dobór ludzi ułatwił im dojście do fantastycznych majątków. Dyrektor Rak wie o wszystkim, co się dzieje w przedsiębiorstwie: kto się spóźnia, kto urywa z pracy, lecz i to, kto potrafi dłużej posiedzieć. Nie lubi, gdy pracownik siedzi po uszy w długach, a docenia, gdy któryś odkłada na PKO. Szef Rak chętnie pomaga pracownikowi, który na to zasługuje. Ma bowiem miękkie serce, lecz nie ma miękkiej głowy. Cechuje go duże poczucie humoru, lecz nie radzi opowiadać w pracy dowcipów. W gruncie rzeczy jest on nieco bojaźliwy i dopiero powodzenie życiowe umacnia jego samopoczucie.

PODWŁADNY RAK

Jest dziwnym typem: niby wrażliwy, a nawet przeczułony romantyk, lecz pracownik z niego dobry. Pracuje chętnie, sumiennie, lecz nigdy dla ideałów, zawsze dla pieniędzy. Pochwały i dyplomy uznania ma za nic, jeśli mu się za pracę odpowiednio nie zapłaci. Nie jest zwolennikiem zmian i jeśli kierow-

nik nie będzie o nim zapominał przy podwyżkach i awansach, nie będzie szukał pracy gdzie indziej. Rak jest grzeczny i taktowny, a wynika to głównie z tego, że nie chce utracić dobrej pracy i płacy. Zakres możliwości pracy ma Rak bardzo szeroki. Potrafi dobrze zastąpić szefa, nawet podczas dłuższej nieobecności.

Urodzeni w znaku Raka: Jean-Paul Sartre, Juliusz Osterwa, Jan Matejko, gen. Zygmunt Berling, Czesław Miłosz, Louis Bleriot, George Sand, Iga Cembrzyńska, Ignacy Domeyko, Jan Machulski, Giuseppe Garibaldi, Louis Armstrong, Gina Lollobrigida, gen. Wojciech Jaruzelski, Ringo Starr, John Rockefeller, Jan Kalwin, Eryk Lipiński, Juliusz Cezar, Gerald Ford, Rembrandt, Tadeusz Pilewski, Tadeusz Łomnicki, Roman Polański, Ernest Hemingway, Janusz Korczak, Mireille Mathieu.



było to w roku 1565

Miasto królewskie Nowogród leży „2 mili od Łomży nad rzeką Narwią, ma grunt po części dobry, a po części piaski, pole trojne. W tym mieście jest wiolek wszystkich 50”. Graniczy z „Matwiczą, wsią królewską z jednej strony, z drugiej stroną z Grzimalami, z Sławczem, z Grądni, z Dzierzkami, wsią szlacheckimi, a z rzeką Narwią”.

Domów było 300 i mrowie rzemieślników. A to: szewców, („których jest 14, iż im wolno drzeć dąb w lesiech królewskich, winien każdy z nich dać dwie pary botów do roku, parę chłopskich a parę niewieścich; szacując chłopi boty per gr 12, a niewieście per gr 6”), 16 kołodziejów, nie znana dokładnie liczba bednarzy, 18 rybaków, 30 piwowarów. Nie zabrakło, oczywiście, i rzeźników, którzy — jak głosi ilustracja — „w tym mieście nie płacą toju jako w innych miastach, ale od każdego bydłęcia dają łopatki, jak i rzeźnicy wiejscy. A iż tam bywa mięsa dosyć, z którym przyjeżdżają rzeźnicy wiejscy tak w targi, jako i w inne dni i święta, dostawa się łopatek niemało [...]”.

Prym wiedli jednak bartnicy. „którzy zwykli do tego dwora dać miodową piacić, albo oddawać, tu w Nowogrodzie jest ich 70, ale jeden z nich położył barę; tylko ich 69, z których każdy winien dać po rączce miodu miary łomzieńskiej, która rączka miary łomzieńskiej czyni warszawskie dwie”.

Był, oczywiście, w mieście kościół drewniany i plebania „dobrze opatrzoną prowiantami”, także łaźnia, a w okolicy — nawet ruda żelazna, „której jest posesorem szlachezny Marcin Skroczki”, i 10 młynów. ZŁOTY BYŁ TO WIEK!

Kurp czy Mazur?

„Ludność tutejsza, składająca się z Mazurów pierwotnych osiedleńców i Kurpiów, łączy się w obyczajach z tymi ostatnimi i trudni się rolnictwem odróżnia się od Kurpiów wiejskich właściwie sobie mianem gryczan, dlatego że się trudni wypiekaniem i sprzedają ulubionych tu placek gryczanych”.

(Aleksander Polujański)



królewski przywilej



STOLICA?

Na Wzgórzu Siemowita leży potężny głaz z napisem: „Założycielom Nowogrodu w 1000-lecie potomni”. Nie sprzeczący się o szczegóły, nie ulega jednak wątpliwości, że Nowogród ma bardzo starą metrykę. Ten gród książąt mazowieckich strzegł ważnej przeprawy w widłach Narwi i Pisy, awansował do miana kasztelańskiego. Można sięgnąć po szacowne pamiątki archeologiczne (zamek z czasów Kazimierza Wielkiego), odciski pieczęci (1320 r.), wpisy do ksiąg, relacje kronikarzy. To było naprawdę duże miasto, znany port zbożowy, ośrodek rzemiosła, stolica bartników.

Przyszły jednak złe czasy, wojny i pożary, niefortunne rządy starostów, niszcząca konkurencja sąsiedniej Łomży. Nie pomogły tradycje zmagania z wrogimi najeźdźcami, pamięć godnych czynów mieszkańców, nawet odkrycie „kurpiowskiego złota” — bursztynu. Nowogród po powstaniu styczniowym został jedną z wielu osad.

A jednak nowogrodzianie nie zrezygnowali, zakładali spółki, tajne szkoły i organizacje; nie zaskoczył ich 1918 r. Mieli już wówczas przywódcę — Adama Chętnika, syna cieśli, uczonego, nade wszystkim miłośnika rodzinnych stron. To głównie za sprawą Chętnika i jego Muzeum mazowiecki Nowogród stał się stolicą kurpiowską, przyćmiewając sławę Myszynia. Potem była znów wojna (bohaterski Wrzesień) i znów lata odbudowy, także Chętnikowskiego Muzeum.

Dziś to wcale porządne miasteczko, ale czy na miarę swych tradycji?

jako z dawna bywało, każdemu bartnikowi jakie chce drzewo dziennie albo drażyć do barcia sposobne, tak w debie jako i sośnie, żadnego nie wyjmując, stanowiska swoje albo domeczki albo więc budy w puszczech miewać, które w pokoju stać powinny i żaden ani z bartników ani luźnych ludzi palić i nosić ich nie powinien. A koby się ważył tego, ma być prawem lennym, którego z dawna zażywają, przez bartników sadzony i karany. Nadto łaski albo knieje miewać, których jako z dawna zwyczaj był. Wolno im będzie sidła zastawiać na jarząbki i rozmaite ptaki, i na kuny, okrom zwierza wielkiego. Także żaki albo wiecierze miewać na rzece Narwi, Pisie, gdzie się komu spodoba. Jazy miewać na rzekach albo w strugach w Zagajnicy Nowogrodzkiej i w nich ryby łowić do roboty swej bartniczej [...]

Na co dla lepszej wiary ręką własną podpisujemy się i pieczęć koronną przycisnąć rozkazaliśmy. Dan w Tykocinie dnia 20 miesiąca grudnia roku pańskiego 1630, panowania naszego 44, szwedzkiego 30.

SIGISMUNDUS REX.

migawki korespondenta

● „Miasteczko nasze ma tyle w sobie dobrych i złych stron, że nie wiem, od czego zacząć i o czym mówić, opiszę więc wszystko po kolei. Najpierw zaczę, że Nowogród nasz bardzo ładnie wygląda z daleka, bo jest na wysokiej górze, nad samą Narwią u ujścia Pisy i jest nadzieja, że jeszcze ładniej będzie wyglądał, gdyż, zawdzięczając pisarzowi gminnemu, mają stanąć latarnie naftowo-żarowe, takie jak w Łomży; sprawione będą z funduszy gminnych. Wtedy to Nowogród chyba w Prusach będzie widać”.

● „Jest w miasteczku urząd gminny, a po jego bokach dwie karczmy, które zapobiegają wysychaniu gardła przy uchwatach; karczem co prawda jest 6 i monopol, jak więc na osadę, to nie za mało”.

● „Dookoła rynku jest do 30-tu sklepów i piekarni żydowskich. W piekarniach tych często palą się sadze w kominach, gdyż w miasteczku jest tylko jeden kominarz, który trudni się mularstwem i czasami całe lato go nie ma.

(„Wspólna Praca”, 1910 r.)



kurpiowski nałóg

„Piwo (»psiwo«) piją na weselach, chrzcinach i pogrzebach; na jarmarkach i odpustach spotkać można gromadki Kurpiów wokoło antalka z piwem; wypróżniają jeden, kupują drugi, przy czym specjaliści piwo szepczą, popisują się publicznie sztuką odbijania szpuntu palcem, a potem wypijają szklanki »psiwa« duszkiem lub od razu całą butelkę bez odpoczynku. Goście, gdy go chcą uraczyć dobrze, częstują piwem i obrażają się śmiertelnie, jeżeli nie chce pić. We wsi Wachu pięciu znajomych Kurpiów pito przez 4 dni z rzędu bez przerwy i wypili całe 12 antalków (po 40 butelek w każdym) i prócz tego jeszcze 100 butelek, czyli na każdego wypadło 120 butelek. Przykładów podobnych spotyka się na puszczy wiele. Chorym na najcięższą nawet chorobę, kobietom rodzącym, dają piwo do picia, jako najskuteczniejsze uniwersalne lekarstwo. Nieraz daje się słyszeć rozmowę o umarłych: »Rano jeszcze wypili psiwa, a wieczorem pomara. Co dziwne, że przy picu Kurpie prawie nie jedzą, niekiedy tylko przegryzają plackiem pszennym.”

(Adam Chętnik: „Z zielonej puszczy”, 1914 r.)

nowogrodziana

redagował
Adam Dobroński

nowogrodziana